Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 9,80 zł w tym 8% VAT ● NR 38 (1878) ● 18–24 września 2026

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl 7eb08cd4f6

WOJNA DOMOWA

Na plaży koło Jarosławca morze wyrzuciło niezidentyfikowany obiekt latający. Proces identyfikacji okazał się skomplikowany: w ciągu 24 godzin obiekt przeszedł przemianę z „niepokojącej eskalacji" w „cenne znalezisko". Najpierw usłyszeliśmy od premiera, że teraz to już Rosja nas naprawdę napadła; później od wicepremiera, że morze przyniosło nam produkt najnowszej rosyjskiej techniki bojowej, myśmy go zgrabnie rozbroili, przejęli i teraz będziemy w nim dłubać, dzięki czemu poznamy ważne rosyjskie tajemnice, brawo my. Władza zdaje się nie dostrzegać rozbieżności pomiędzy tymi dwiema narracjami.

Donald Tusk się wstydzi. To, szczerze mówiąc, nie jest zdanie, które spodziewaliśmy się kiedykolwiek zwerbalizować, bo premier wygląda na raczej bezwstydnego. Jednak skala tuskowego wstydu jest godna premiera RP: globalna. Jest to bowiem „wstyd na cały świat", zrodzony z tekstu w „Financial Times". Chodzi z grubsza rzecz biorąc o to, że za Obajtka Orlen założył sobie spółunię o nazwie OTS, zarejestrował ją w szwajcarskim raju podatkowym, wykolegował własne Biuro Handlu Ropą i Paliwami, po czym kolesie z OTS zapłacili półtorej dużej bańki za wenezuelską ropę, której Orlen nigdy nie dostał. Afera jest tak gruba, że rzeczywiście zapiera dech w piersiach, i ktoś bardzo zdecydowanie powinien za to beknąć, najlepiej całym majątkiem. Nie wiemy tylko, po co premier, komentując ją na posiedzeniu rządu, musiał podkreślić, że w całym tym zakupie wzięli udział „dziwni pośrednicy: Palestyńczyk, Chińczyk, Wenezuelczyk". Bo jakby było trzech białych Polaków, to nic złego by się nie wydarzyło?

Nasz ulubiony wicepremier od ołowianych żołnierzyków nie wstydzi się nic a nic – wręcz przeciwnie, jest bardzo dumny z Polski. Albowiem jesteśmy pierwsi w kolejce do amerykańskich wojaków. Gdyż „nie ma lepszych warunków w Europie dla stacjonowania wojsk amerykańskich. Polska jest gotowa ponosić finansowe konsekwencje inwestycji w swoje bezpieczeństwo przez obecność wojsk amerykańskich; tego nie oferuje nikt inny w takim zakresie w Europie". Czy ktoś mógłby Władziowi wytłumaczyć, że płacenie za ochronę facetowi, który mówi: „Jak mi nie zapłacicie, to zachęcę tego dużego łobuza, żeby zrobił z wami, co chce" – ma swoją nazwę i jest to rekiet. Po naszemu: wymuszenie rozbójnicze, art. 282 kodeksu karnego.

Zreaktywował się dawno niewidziany Antoni Macierewicz. Najpierw przybył na miesięcznicę smoleńską z pistoletem do paintballa, którym usiłował zamazać transparent o treści „Pamięci 95 ofiar Lecha Kaczyńskiego" – a później okupował siedzibę Akademii Wymiaru Sprawiedliwości, czyli ziobrowego WSNS dla klawiszy, którą władza usiłuje odbić z rąk pisowskich zagonów. Póki co z marnym skutkiem, bo posłanka Kurowska się zabarykadowała kanapą. Powagę sytuacji podkreślają słowa byłego ministra obrony narodowej (spisaliśmy dosłownie, ze względu na ich gravitas): „Ja się nie zajmuję żadną siłą w żadnym wypadku, za to pan poseł jest tutaj atakowany przez tego policjanta jakimś działaniem w ogóle niesłychanie niebezpiecznym" (to o walce o AWS). Oraz: „Ja nie biegałem, ktoś mnie próbował gonić uniemożliwiając tego, żeby został zlikwidowany atak na pana prezydenta" (to o pistolecie do paintballa). I jeszcze: „Putin zamordował pana prezydenta Kaczyńskiego, a wy bronicie Putina" (to do mediów). W domu u pana posła wszyscy zdrowi?

Żeby nie było, że czepiamy się tylko staruszków, dosłowny zapis dialogu między dziennikarzem Polsatu a 46-letnim orłem lewicy, posłem Trelą, na temat cen paliw i weta do ustawy o podatkach od koncernów paliwowych. Dziennikarz: „Może jednak warto byłoby się dogadać?". Poseł: „Co tu się dogadywać, kiedy na stole leży ustawa, która daje 4 miliardy złotych do budżetu". Dziennikarz: „A nie można jej troszkę dostosować tak, żeby prezydent podpisał?". Poseł: „Nie. Prezydent nie jest od tego, że będzie w procesie legislacyjnym dyktował warunki. Proces legislacyjny w Polsce wygląda tak: Rada Ministrów przygotowuje projekty, sejm je zatwierdza, prezydent je podpisuje. Tak było, jest i tak będzie, i prezydent Nawrocki musi po prostu nauczyć się". Kłopot nie polega na tym, co mówi jeden marginalny poseł o inteligencji widelca – kłopot w tym, że cała ta koalicja naprawdę tak myśli, co oznacza, że przyjęcie jakichkolwiek prospołecznych ustaw jest z góry skazane na niepowodzenie. W końcu ministrowie mają limuzyny, a posłowie kilometrówki, więc ich ceny paliw nie bolą. Czy też – żeby zacytować klasyka – rząd się wyżywi.

Kandydat Prawa i Sprawiedliwości na prezesa Rady Ministrów RP, doktor habilitowany nauk prawnych, profesor Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, zapytany o nakazaną przez Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej transkrypcję aktów małżeństw jednopłciowych do polskiego porządku prawnego: „Równie dobrze można tam zarejestrować misia Colargola z żabką Marysią". Ech, te nasze elity.

AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA



wrzesień 2014 r.

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Świętego Wacława

Obchodzę dwie doniosłe rocznice, co kieruje mi myśli ku postępkom miłosnym. 65 lat temu w słonecznym zagajniku pod Łodzią przestałem być prawiczkiem. 30 lat temu nocą w Poznaniu zerżnęła mnie bezlitośnie Daniszewska.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Symbole miłości, nastolatki Romeo i Julia, kochały się bez seksu, a przez to egzaltowanie i histerycznie. Abstynencja, a też okoliczności towarzysko-rodzinne doprowadziły ich do samobójstwa. Współczesnym polskim wcieleniem dramatu Romea i Julii są, jak wiadomo, osły z poznańskiego zoo, które przedstawicielka PiS kazała rozdzielić. Kopulując, mogły bowiem sugerować zwiedzającym je dzieciom, skąd się biorą dzieci. Dziatwa powinna zaś sądzić, że bozia rozsypuje je z puderniczki. Pod naciskiem śmieszności rozdzielone osły przywrócono sobie i cała Polska cieszyła się z tego happy endu. Oszustwo. Romea i Julię znów rozdzielono kratą, tyle że pod nieideologicznym pretekstem chuligańskich bijatyk w środowisku osłów. Oto linia polityczna partii i rządu Ewy Kopacz.

Świętego Jerome

Gdzie schował się ksiądz Oko? Dlaczego milczy Terlikowski, „Fronda", Radio Maryja, episkopat? Ogłoszony został raport z badań nad związkami męsko-męskimi i damsko-damskimi. Wynika z nich, że pary homoseksualne są szczęśliwsze i bardziej partnerskie od heterycznych. Znakomicie też wychowują dzieci. Spodziewałem się wrzasku klerykałów, a tu cisza, przemilczanie. Największą częścią Polski jest ogon i dlatego Kościół wlecze się w ogonie, dbając, żeby reszty organizmu w ogóle nie było widać.

Świętego Leżera

Kilka lat temu zostałem skazany w procesie karnym z oskarżenia publicznego za to, że w felietonie nazwałem żyjącego wtedy jeszcze polskiego władcę Watykanu bożkiem, trzęsącym się starcem, który nie powinien z siebie robić widowiska. Paragraf na mnie: obraza głowy obcego państwa. Donoszę więc, panie prokuratorze, że w „Gazecie Polskiej" z 1 października na str. 5 w artykule „Kpił z Putina, pójdzie do polskiego więzienia" przestępstwo znieważenia głowy obcego państwa moim zdaniem popełnił Piotr Lisiewicz, pisząc o prezydencie Federacji Rosyjskiej, w której Rzeczpospolita utrzymuje ambasadora pełnomocnego i nadzwyczajnego, cytuję: „Putin to morderca i szumowina". Żądam równości wobec prawa, czyli swojej i Lisiewicza, i zarazem równego traktowania wielkiego państwa Watykan i malutkiej Rosji.

Świętej Flory

Historycy-lustratorzy ze stajni (czy chlewu?) IPN ogłosili, że prawicowy profesor Witold Kieżun był zdaniem instytutu kapusiem SB o pseudonimie Tamiza. W prasie prolustracyjnej trwa więc dyskusja, czy ich człowieka należało „w imię prawdy" publicznie poniżyć, czy też mu odpuścić, bo walczył w powstaniu i w ogóle. W prasie tej Urbanem podcierają sobie dupę i smarują tym swych przeciwników z obozu Solidarności. Podsuwałem im więc w wielu już publikacjach nowe paliwo, że nie byłem tylko Goebbelsem stanu i mordercą Popiełuszki, ale też kapowałem na kolegów do SB. Grochem o ścianę. Ponieważ nie znajdują w IPN potwierdzenia, to mi nie wierzą. A jestem jedyny w Polsce, który wywleka sam siebie, mając czystą kartę w IPN. Bez stempla IPN nie można więc być u nas nawet świnią. Z drugiej strony gdy przesłuchujący mnie w Białymstoku prokurator IPN przedstawił mi zawarty w ich aktach sfałszowany dokument, a ja uzasadniłem do protokołu, dlaczego to fałszywka, IPN nie był zainteresowany sprawą. Nie obchodzi go, czy w śledztwach operuje autentycznymi papierami, czy fałszywkami. I kto te fałszywki preparuje na użytek IPN. Chociaż oszustwo było współczesne i nie można podejrzewać o nie SB. Tak od wewnątrz wygląda ta twierdza historycznej prawdy.

Świętego Bruna

Coś mi wpadło do głowy i zaszedłem dzisiaj do swojej łazienki. Nie wiem, dlaczego to zrobiłem. Człowiek się myje, żeby być czystym. Ale po co ma być czysty, na to już nie ma odpowiedzi. Nie znając mocnych argumentów, nikt nie powinien marnować wody, która może być w Polsce jeszcze potrzebna do podtapiania amerykańskich więźniów. Problem łazienki uzmysławia nam, jak naucza Kościół. Mówi on swoim słuchaczom: to czynić należy, tego nie należy. Poczem na pytanie dlaczego, odpowiada jakimś sloganem lub dogmatem. W tej sytuacji irytuje, że ateiści praktykują mycie się, nawet, jak sądzę, częściej niż wierzący. Tylko brudna kobieta jest seksy. Pachnie kobietą, a nie mydłem. Ludzie, którzy się myją, brzydzą się siebie. Klasa średnia to klasa domyta.

Świętego Serża

Przepowiadam, że od początku roku 2015 Kaczyński i jego chórzyści wznowią atak na Tuska. Krzykną, że ten laluś miał przyłączyć Europę do Polski, a działa na odwrót.

Świętej Pelagii

Policja zatrzymała Daniszewską, ponieważ jadąc na rowerze, wydmuchała stan wskazujący. Daniszewska, będąc magistrem prawa, weszła z psami w spór pozbawiony słów obelżywych. Ona jeździ na rowerze trzykołowym – wyjaśniła – więc ma prawo być pijana, podobnie jak pieszy. Przecież nie może się przewrócić. Policjanci okazali niepewność, na co wtrącił się Azor, który biegł, eskortując Daniszewską. Zaczął na władzę bezczelnie szczekać. Policjanci uciekli do radiowozu, chociaż Azor nie jest pudlem dużym, tylko średnim. Uświadomiło mi to dramatyczny problem Polaków. Papież Franek wzbudza zachwyt mediów wszelkiej orientacji, a jego zalety w domyśle czynią Jana Pawła II papieżem drugorzędnym, wręcz wadliwym. Toteż kult Polaka coraz cieniej śpiewa. M.in. obserwatorzy sądzą, że Franciszek serio traktuje miłość bliźniego. Jego adoratorzy martwią się zaś, jak tę skłonność zaszczepić wiernym w Polsce, nienawistnikom w większości. Jako stary PR-owiec mam dla kleru pomysł. Żeby rozplenić miłość bliźniego, niech Kościół przestanie negować oczywisty fakt przyrodniczy, że ludzie są po prostu jedną z odmian zwierząt. Polacy nie lubią ludzi, ale przecież kochają zwierzęta.

Jom Kippur

Wielu moich internetowych krytyków zarzuca mi, że jestem Żydem. To nieprawda, ja tylko Żydem bywam. ❑



Rys. TOMASZ WIATER

PRZEMINĘŁO Z WIATEREM

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Tęczowy Jezus

Co roku w Paradzie Równości w Sztokholmie Kościół szwedzki idzie z krzyżem przystrojonym w tęczowe barwy. Jakże inny jest ten protestancki Kościół od naszego zacofanego katolickiego. Protestanckiemu Jezusowi nie przeszkadzają śluby kościelne przed jego obliczem i adopcja dzieci przez pary homoseksualne. Jezus protestancki jest bardzo tolerancyjny, a Jezus katolicki jest wielkim homofobem. Za krzyż w tęczowym kolorze w Polsce grozi obraza uczuć religijnych, paragraf 196 i dwa lata więzienia. Jako Polska jesteśmy od wieków w czarnej watykańskiej dupie.

Uta Ranke-Heinemann w swojej książce „Nie i amen" pisze, że 50 proc. biskupów i księży w Watykanie to ukryci geje, pod czarną sutanną. Pod nią najłatwiej jest ukryć swoją orientację homoseksualną. My ateiści wspieramy ruch osób LGBT, gdyż sami mamy również problemy związane z życiem w katolickiej Polsce. W Szwecji setki lat temu udało się przeprowadzić reformację i odciąć od wpływów watykańskich, co miało wielki pozytywny wpływ na rozwój społeczny. Protestantyzm to tolerancja, a katolicyzm to homofobia, rasizm i nienawiść do wszelkiej odmienności. Dopóki nie będzie silnej lewicy w Polsce, to nie mamy co liczyć na jakiekolwiek zmiany. My, ateiści z Gdańska, dołożymy wszelkich starań, aby świeckie państwo i pełny rozdział od Kościoła katolickiego stał się faktem, a nie mitem. Jeszcze Polska nie zginęła, póki my, ateiści, żyjemy.

Waldemar Szydłowski, Gdańsk

Zwiększyć liczbę wicemarszaków

Wobec sejmowych sporów o wicemarszałków izby proponuję – aby każdy wilk był syty i każda owca cała – kontynuowanie podziału obecnie istniejących klubów poselskich aż do osiągnięcia ich maksymalnej liczby, tj. trzydziestu, a następnie poszerzenie grona wicemarszałków stosownie do liczby nowo powstałych klubów, ewentualnie przyznanie jeszcze jednego wicemarszałka pozostałej dziesiątce posłów. Wprawdzie to niestety nasz cyrk i niestety finansowany z naszych pieniędzy, ale może już lepsze zatrudnienie Wybrańców Narodu przy takich zbożnych przedsięwzięciach niż pozostawienie im więcej czasu na radosną legislacj, tudzież inną twórczą działalność.

Grzegorz Ruch Lewic(z)

eprasa.pl 7eb08cd4f6

Zbrodnie bez kary

„NIE” rozmawia z MAXEM BOJARSKIM, autorem książki „Czarna księga katolicyzmu. 100 największych zbrodni Kościoła”

– Moje pierwsze wrażenie po wzięciu do ręki twojej książki: oto doskonały prezent na komunię! Wydanie albumowe, dobry papier, czytelny układ, ilustracje. Tematyka wprawdzie cokolwiek niedziecięca, ale już na przykład na bierzmowanie jak znalazł. To w końcu sakrament dojrzałości chrześcijańskiej, a dojrzały chrześcijanin powinien znać historię swojego Kościoła. A jaka intencja przyświecała autorowi przy tworzeniu „Czarnej księgi katolicyzmu”?

– To rzeczywiście byłby stosowny prezent, choć może nieco ryzykowny na bierzmowanie. Skoro młody człowiek ma podobno świadomie potwierdzić swoją przynależność do Kościoła, dobrze byłoby, żeby wiedział, do jakiej instytucji się zapisuje. Nie tylko w wersji z białymi szatkami, kadzidłem i opowieścią o „cywilizacji miłości”, ale także tej z krucjatami, inkwizycją, gettami, dziećmi skrzywdzonymi przez duchownych, podporządkowaniem kobiet i całymi społeczeństwami tresowanymi do uległości. Intencja była prosta: zebrać w jednym miejscu materiał, który zwykle jest rozproszony, rozmywany albo opatrywany rytualnym zdaniem: „Kościół składa się z grzesznych ludzi”.

– Jak na spis 100 największych zbrodni Kościoła zaczynasz nietypowo, bo od celibatu, a właściwie od przymusowego narzucenia go duchownym. Celibat, owszem, uważa się za źródło wielu przestępczych zachowań duchownych – ale żeby sam w sobie był zbrodnią?

– Celibat jako osobisty wybór nie jest zbrodnią. Dorosły człowiek może żyć bez seksu, rodziny, wina, mięsa, internetu albo poczucia humoru, jeśli uzna, że tak prowadzi go jego droga duchowa. Zbrodnią jest przemocowe narzucenie którejś z tych rzeczy całej grupie ludzi i zbudowanie na tym systemu władzy. W XI wieku wielu duchownych żyło w małżeństwach albo trwałych związkach. Reforma gregoriańska nie była więc łagodnym przypomnieniem ideału, tylko brutalną operacją odcięcia księży od rodzin i lokalnych więzi, a ich dzieci od dziedziczenia. Ksiądz miał należeć nie do żony, dzieci i wspólnoty, ale do korporacji kościelnej. Wcześniej bezżenni byli głównie mnisi, którzy się na to decydowali, bo miało to (przynajmniej w teorii) jakiś sens na ich duchowej drodze – a teraz zaczęło to dotyczyć już całego kleru i nikt nie pytał o to, czy ktoś ma do celibatu jakiekolwiek predyspozycje wewnętrzne. A potem z tej wymuszonej bezżenności zrobiono świętość. I to jest stała metoda Kościoła: najpierw dyscyplina władzy, potem teologia, która ma ją upiększyć. A z tłumionej seksualności rozwinęły się patologie prowadzące wprost do kolejnych zbrodni, z systemową pedofilią na czele.

– Tytuł „Czarna księga katolicyzmu” przywodzi na myśl dzieło „Czarna księga komunizmu” – prawacką biblię masakrowania lewaków. Tymczasem Kościół katolicki zawsze ciągnęło raczej do prawicowych reżimów. Czy uważasz, że te ciągoty wynikają z tego, że Kościół sam jest instytucją totalitarną?

– Kościół nie jest totalitarny w dokładnie takim sensie jak państwo totalitarne XX wieku, bo nie zawsze dysponuje aparatem przymusu państwowego. Ale ma bardzo silny rdzeń totalizujący: chce regulować nie tylko zachowanie człowieka, ale także jego sumienie, ciało, seksualność, wyobraźnię, język i śmierć. A najlepiej również edukację jego dzieci. Dlatego Kościół tak często dobrze czuł się przy prawicowych autorytaryzmach. Łączyła go z nimi wspólna niechęć do emancypacji: kobiet, robotników, mniejszości, kolonizowanych ludów, wolnomyślicieli, heretyków, Żydów, liberałów, socjalistów – lista zmieniała się zależnie od epoki, mechanizm pozostawał podobny. Kościół kocha wolność, gdy sam jej potrzebuje. Gdy wolność zaczynają mieć inni, natychmiast przypomina sobie o porządku, tradycji i zgorszeniu.

– Jako jedną ze zbrodni wymieniasz wytępienie teologii wyzwolenia, czemu przysłużył się Jan Paweł II. Czy pontyfikaty Franciszka i Leona XIV oznaczają jakiś zwrot w kościelnej doktrynie?

– Franciszek zmienił ton, gesty, akcenty – i to nie jest bez znaczenia. Po epoce Wojtyły i Ratzingera narracja Bergoglio dotycząca ubogich, migrantów, peryferii czy niszczenia środowiska brzmiała jak powrót do tematów, które Kościół powinien był traktować poważnie od dawna. Ale czy to był zwrot doktrynalny? Tu byłbym ostrożny. Kościół ma wielką zdolność do zmiany nastroju bez zmiany struktury. Potrafi mówić cieplej, nie oddając władzy. Potrafi wzruszać się ubogimi, nie podważając mechanizmów, które biedę produkują. Potrafi przeprosić za nadmiar antykomunistycznej gorliwości, nie przyznając, że w Ameryce Łacińskiej stawał często po stronie możnych przeciw biednym. Leon XIV kontynuuje raczej łagodniejszą linię duszpasterską Franciszka, niż dokonuje rewolucji. Ale Kościół ocenia się nie po tonie papieskich przemówień, tylko po tym, komu oddaje władzę, kogo ucisza, kogo chroni i czyje cierpienie uznaje za realne.

– Wiele miejscą poświęcasz relacjom Kościoła z Żydami. Czy uważasz, że katolicyzm jest rdzennie sprzężony z antysemityzmem?

– Niestety, chrześcijaństwo historyczne – a katolicyzm w szczególności – bardzo głęboko sprzęgło się z antyjudaizmem, który przez stulecia przygotowywał grunt pod nowoczesny antysemityzm. Oczywiście nie twierdzę, że każda forma chrześcijaństwa musi nieuchronnie prowadzić do nienawiści wobec Żydów. Ale twierdzę, że przez większą część swojej historii Kościół tworzył język, obrazy i instytucje, które tę nienawiść legitymizowały. Żyd nie był po prostu sąsiadem innego wyznania. Był „tym, który odrzucił Chrystusa”, „świadkiem błędu”, kimś podejrzanym metafizycznie. Z tego rodziły się kazania, upokorzenia, getta, przymusowe oznakowanie (żółte łaty nakazane przez Sobór IV Laterański były pierwowzorem opasek z gwiazdą Dawida), pogromy i cała kultura pogardy. Kościół lubi dziś mówić, że nazizm był pogański. Owszem, w wielu aspektach był. Ale europejscy naziści nie musieli wymyślać nienawiści do Żydów od zera. Przyszli do świata, w którym chrześcijaństwo przez wieki wykonywało część pracy przygotowawczej. I tego się nie unieważni jednym ładnym dokumentem dialogu. Zresztą przypominam w książce, że w 1933 roku Adolf Hitler w rozmowie z biskupem Berningiem powiedział, że w swojej polityce wobec Żydów jedynie kontynuuje to, co Kościół robił przez 1500 lat. Jak wykazują dostępne źródła, biskup nie zaprzeczył.

– We wstępie wspominasz, że z wykształcenia jesteś m.in. teologiem katolickim. Jaką drogę pokonałeś od adepta kościelnych nauk do krytyka tej instytucji?



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

MAX BOJARSKI – działacz społeczny, wydawca, przedsiębiorca. Współtwórca Kongresu Świeckości i współinicjator akcji Same Plusy na rzecz apostazji i zrywania z kościelnymi tradycjami. Książkę „Czarna księga katolicyzmu. 100 największych zbrodni Kościoła” można zamówić na stronie Antykleryk.pl.

– To nie była typowa droga od wiary do niewiary ani od fascynacji religią do nieufności wobec instytucji. Poszedłem na studia teologii dla świeckich, nie będąc katolikiem i mając podobny poziom krytycyzmu jak dziś. Byłem już wtedy redaktorem pisma „Gnosis” zajmującego się historią i teorią herezji, ale jako czymś pozytywnym, w duchu – jeśli można tak powiedzieć – duchowości wolnościowej.

Przez sześć lat studiów ukrywałem przed moją uczelnią – Papieskim Wydziałem Teologicznym – moje równoległe niekatolickie życie i moją faktyczną motywację, którą była chęć głębszego zrozumienia, czym jest od podszewki duża zinstytucjonalizowana religia i czy jest w niej miejsce na duchowość

– a jeśli tak, to na jaką. Jednocześnie, z czystej uczciwości intelektualnej, chciałem dać szansę Kościołowi na przekonanie mnie, że to jego droga jest właściwa. To mu się nie udało. Przez te lata poznałem Kościół nie z zewnątrz, jako antyklerykał z transparentem, ale od środka: jego język, mechanizmy obronne, piękne intuicje i brzydkie lęki. Z czasem coraz wyraźniej widziałem, że między szlachetnymi wątkami Ewangelii a instytucją istnieje przepaść, którą Kościół próbuje zasypać kadzidłem, autorytetem i retoryką ciągłości. Nie zostałem krytykiem Kościoła dlatego, że religia przestała mnie interesować. Przeciwnie. Zostałem nim dlatego, że religia interesuje mnie zbyt poważnie, żeby oddać ją w ręce urzędników od zbawienia.

– Jak to wygląda na studiach teologicznych? Czy tematy, które omawiasz w „Czarnej księdze”, są pomijane, czy też omawiane, ale z właściwym klerowi zamazywaniem prawdziwego obrazu?

– Na 100 wydarzeń, o których piszę w swojej książce, na moich studiach nie mówiono o żadnym z nich jako o zbrodni. Zresztą o większości z nich nie mówiono w ogóle, pomijano wszystko, co nie musiało być odnotowane w ramach regularnych zajęć z historii Kościoła. Pewnego razu prominentny ksiądz profesor nauczający tego przedmiotu, główny propagandzista na tej uczelni, skądinąd pełniący równolegle ważne funkcje pozaakademickie, wdał się w rozmowę ze studentami po zakończeniu wykładu o inkwizycji. Na tych studiach wszyscy myśleli tak samo (a ja nie mówiłem, co myślę, by mnie nie wyrzucono), więc nie była to dyskusja, tylko wzajemne podkręcanie się w entuzjazmie dla tej jakże nikczemnie opluwanej w naszych czasach instytucji, „rzetelnej, postępowej (jak na standardy epoki) i oddanej ludzkiemu zbawieniu”. Konkluzją były słowa prowadzącego, że w naszych czasach zgniłego liberalizmu powrót „świętej inkwizycji” miałby skutki ze wszech miar dobroczynne.

– Prawie jedna trzecia opisanych zbrodni dotyczy XX wieku. Kler się rozhulał, czy po prostu wszystko jest lepiej udokumentowane?

– Raczej to drugie. XX wiek jest lepiej udokumentowany, więc widzimy więcej: archiwa, świadectwa, prasa, fotografie, raporty, zeznania ofiar. W średniowieczu wiele dramatów po prostu przepadało w milczeniu albo zostawało opisanych językiem zwycięzców. Ale oczywiście XX wiek nie był czasem niewinnego Kościoła. To czas konkordatów z autorytaryzmami, antykomunistycznej obsesji, która usprawiedliwiała sojusze z potworami, walki z teologią wyzwolenia, wojny z antykoncepcją, tuszowania przemocy seksualnej, a potem jeszcze przemysłu beatyfikacyjno-pomnikowego, który miał wszystko przykryć. Nowoczesność nie uczyniła Kościoła mniej groźnym, tylko bardziej medialnym, bardziej prawniczym i chwilami ostrożniejszym. Ale zepsuty rdzeń pozostał.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

– Ty się rozpisujesz o drobnostkach typu inkwizycja czy zakaz używania prezerwatyw w Afryce, a tymczasem prześladowania katolików nie ustają. Magdalena Biejat nie uklęknęła w kościele, ks. Wachowiak usłyszał „dzień dobry” zamiast „Szczęść Boże”... To są prawdziwe zbrodnie i dramaty...

– Tak, to jest martyrologia klasy premium. Jedni mieli stosy, getta, kolonialne masakry, przemoc seksualną i odbieranie dzieci rodzicom, a polski katolik roku 2026 ma Magdalenę Biejat, która nie uklękła, oraz kobietę, która powiedziała księdzu „dzień dobry”. Trzeba będzie chyba powołać komisję historyczną, może nawet muzeum. A mówiąc serio: te sytuacje są śmieszne tylko na powierzchni. Pod spodem pokazują coś bardzo ważnego. Część duchowieństwa i prawicowych katolików naprawdę nie rozumie, że świat zewnętrzny nie jest ich parafią. Że obywatelka w kościele nie musi udawać wiary, której nie wyznaje. Że człowiek na ulicy nie ma obowiązku odpowiadać rytualną formułą religijną. Że „dzień dobry” jest grzecznym pozdrowieniem, a nie aktem agresji antyklerykalnej. To jest właśnie mentalność dawnej władzy: nawet neutralność odbiera jako bunt.

– „Kościół nie boi się wiedzy. Nie boi się książek” – powiedział ostatnio abp Kupny do bibliotekarzy. Myślę, że dobrym sprawdzianem deklaracji arcybiskupa byłaby próba wstawienia „Czarnej księgi katolicyzmu” do księgarń diecezjalnych...

– Bardzo chętnie sprawdzę tę deklarację empirycznie. Jeśli Kościół naprawdę nie boi się wiedzy i książek, niech „Czarna Księga katolicyzmu” trafi także do bibliotek seminaryjnych i na listę lektur dla kleryków. Nie jako potępiony paszkwil, ale materiał do rachunku sumienia. Bo naprawdę uważam, że ta instytucja może jeszcze próbować się reformować, ale nie zrobi tego bez odważnego zweryfikowania, co do tej pory robiła nie tak, i bez sprawdzenia – jeśli mogę to ująć tak poetycko – czy w jej łonie nadal nie tlą się zalążki zbrodni. Obawiam się jednak, że Kościół nie boi się książek pod warunkiem, że są to książki, które stoją grzecznie na właściwej półce i nie zadają pytań. Z Indeksem ksiąg zakazanych było podobnie: Kościół oczywiście kochał wiedzę, tylko najpierw musiał sprawdzić, czy wiedza kocha Kościół. Jeśli abp Kupny mówi serio, egzemplarze mogę dostarczyć. Nawet z dedykacją. Bez imprimatur, ale za to z przypisami.

– W planach masz już kolejną książkę. Znowu będziesz szkalował Kościół?

Oczywiście. Przy czym „szkalowanie” oznacza w tym wypadku dalsze przypominanie faktów, których Kościół wolałby nie pamiętać. To jest bardzo wygodne słowo: szkalowanie. Gdy ktoś kłamie o Kościele – szkaluje. Gdy mówi prawdę, ale prawda jest nieprzyjemna – też szkaluje. W praktyce „szkalowanie” oznacza często naruszenie komfortu instytucji przyzwyczajonej do bezkarności. Kolejna książka będzie dotyczyć 100 największych kłamstw Kościoła, a więc już nie zbrodni rozumianych jako konkretne akty przemocy, ale całego systemu narracji: o rodzinie, seksualności, kobietach, historii, nauce… Ta książka będzie także o tym, gdzie rozjeżdża się doktryna, o fundamentach władzy papieskiej, o przemyśle relikwii… Ale też o biedzie i bogactwie Kościoła, Żydach, komunizmie, ateizmie i własnej moralnej wyjątkowości. Bo Kościół nie tylko krzywdził. On jeszcze bardzo skutecznie opowiadał, że krzywdząc – zbawia.

Rozmawiał
ŁUKASZ PIOTROWICZ

Pierwsze pięć osób, które napiszą maila z hasłem „Tygodnik NIE” na adres antykleryk@antykleryk.pl, dostanie książkę z autografem w prezencie od Autora.

eprasa.pl 7eb08cd4f6

Mojżesz naszych czasów

Ila nas będzie kosztowała kontrola Huti nad Morzem Czerwonym?

Sprzymierzeni z Iranem rebelianci Huti przejęli kontrolę nad jemeńskim wybrzeżem Morza Czerwonego. Jemen leży nad jedną z najważniejszych arterii transportowych świata. Iran, dzięki swoim przyjaciołom, zyskał możliwość realnego wpływu na globalne ceny ropy. Wszystko dzięki Stanom Zjednoczonym i Izraelowi.

Klincz

Gdy amerykańsko-izraelska wojna przeciwko Iranowi doprowadziła do zamknięcia cieśniny Ormuz, przez którą przepływała jedna piąta światowej ropy naftowej, jej największy eksporter, Arabia Saudyjska, przerzuciła się na trasę przez Morze Czerwone. 10 września sprawy się skomplikowały.

Jemeńscy rebelianci zajęli port Mokka w pobliżu połączenia Morza Czerwonego z Zatoką Adeńską, co najmniej jedną z wysp archipelagu Hanisz, wyspę Perim leżącą w samej cieśninie Bab al-Mandab (Bramę Łez) i portowe miasto Zubab. To strategiczne wąskie gardło łączące Morze Czerwone z Oceanem Indyjskim to drugi, obok cieśniny Ormuz, newralgiczny punkt światowego transportu energii. Ostatnim bastionem do przejęcia pełnej władzy nad Bab al-Mandab jest zdobycie góry Zubab, położonej 10 km od ujścia cieśniny. Wszystko wskazuje na to, że dla Huti to formalność przed poranną herbatą.

Żeby Saudyjczykom było mniej wesoło, rurociąg Wschód–Zachód – będący jedynym dostępnym obecnie lądowym korytarzem eksportu ichniejszej ropy – musiał wstrzymać pracę po ataku dronów. Te nadleciały znad Iraku, gdzie działają wspierane przez Iran lokalne bojówki. Potężne ilości surowca zostały uwięzione na pustyni nie wiadomo na jak długo. Reakcja rynków była błyskawiczna: ceny ropy Brent i WTI przebiły barierę 100 dol. za baryłkę.

Huti deklarują, że żegluga przez Bramę Łez jest bezpieczna, wyłączając oczywiście Saudyjczyków. Armatorzy i firmy ubezpieczeniowe niespecjalnie im wierzą i traktują ten rejon jako strefę ekstremalnego ryzyka. Efekty tego burdelu najmocniej uderzają w gotowe produkty paliwowe; ceny diesla i benzyny na świecie rosną jeszcze szybciej niż sama wycena surowej ropy.

Według portalu Axios saudyjski następca tronu Mohammed bin Salman namawiał prezydenta USA Donalda Trumpa do ataku na irańskich sprzymierzeńców. Amerykański przywódca spuścił go po brzytwie. Nie bez powodu, ale o tym za chwilę.

Chłopaki w klapkach i bomby

Huti to zaidyccy szyici z północnego Jemenu, którzy przeszło dekadę temu przejęli stolicę Sanę i większość północnej części kraju. Oskarżają Saudów o to, że przez lata próbowali narzucić Jemenowi swoją wersję islamu i traktowali ich społeczność jak podludzi. Głównym sponsorem Huti jest Iran, największy rywal Arabii Saudyjskiej na Bliskim Wschodzie. Dostarcza rebeliantom militarne zabawki: drony kamikadze, rakiety balistyczne oraz instrukcje, jak skutecznie ich używać (nie mylić z instrukcją obsługi). Jemen jest krajem biednym, ale leży w niezwykle ważnym miejscu na mapie świata. Graniczy bezpośrednio z Arabią Saudyjską (jest to bardzo długa granica) i ma wyjście na Morze Czerwone, które prowadzi w stronę Izraela i do wspomnianej Bramy Łez.



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Umieszczając rakiety i drony w Jemenie, Iran może wygodnie atakować swoich wrogów, nie robiąc tego z własnego terytorium. W dodatku po kosztach. Huti potulnie wykonują polecenia Teheranu, bo łączy ich wspólna nienawiść do USA, Izraela i Arabii Saudyjskiej. Są też tańsi w utrzymaniu niż regularna armia.

Dla Saudyjczyków walka z Huti to de facto walka z samym Iranem, który próbuje ich otoczyć swoimi mało czułymi ramionami. Z tego też tytułu Arabia Saudyjska przez lata wraz z koalicją interweniowała militarnie w Jemenie, wspierając jego uznany międzynarodowo rząd. W 2022 r., po wojnie domowej i katastrofie humanitarnej w tym kraju, pod patronatem ONZ zawarto rozejm, który nieco uspokoił nastroje sąsiadów. Na krótko.

Kiedy Stany Zjednoczone i Izrael postanowiły podkurwić Teheran przedłużającym się konfliktem, Irański Korpus Strażników Rewolucji Islamskiej nakazał swoim jemeńskim koleżkom natychmiastowe uderzenie w czuły punkt Arabii Saudyjskiej i Zachodu. Huti dostali obietnicę dodatkowej kasy, nowoczesnej broni i wsparcia wyższych rangą oficerów. Nie trzeba im było dwa razy powtarzać. Wznowili zmasowany ostrzał saudyjskich rafinerii i baz wojskowych, a przy okazji zakręcili drugi zawór światowego rynku energii.

Manekiny Rijadu

Arabia Saudyjska jest jednym z największych na świecie odbiorców amerykańskiego uzbrojenia. Dostawcy zza oceanu wyposażają niemal wszystkie rodzaje saudyjskich sił zbrojnych. Saudyjczycy mają w posiadaniu m.in.: czołgi M1A2 Abrams, wozy bojowe piechoty Bradley, wielozadaniowe myśliwce F-15, śmigłowce Black Hawk i nowoczesne systemy obrony powietrznej. Słowem, nie oszczędzali. Dowcip polega na tym, że saudyjska armia zbudowana jest na defilady, tymczasem jemeńscy bojownicy Huti są znani z tego, że potrafią walczyć w skrajnie trudnych warunkach górskich i są bardzo zmotywowani. Stawiają na tanią, wykańczającą wojnę podjazdową.

To nie wszystko.

W saudyjskim wojsku stanowiska oficerskie często zdobywa się za pochodzenie i powiązania z rodziną królewską. Szeregowi żołnierze to z kolei kontraktowi najemnicy, którzy niekoniecznie chcą ryzykować utratę pulsu za żołd.

Jemen to kraj pełen gór, jaskiń i tym podobnych uroczysk. Zajebiste zabawki z amerykańskich katalogów zbrojeniowych to łatwy cel dla ukrytych w jaskiniach bojowników z tanią bronią przeciwpancerną. Huti masowo używają budżetowych dronów i rakiet z Iranu. Arabia Saudyjska zestrzeliwuje je za pomocą amerykańskich rakiet Patriot, koszt jednego pocisku to ok. 4 mln dol. Tradycyjne naloty sprawdzają się w wojnie z regularną armią, która ma bazy, magazyny czy fabryki broni. Huti nie mają i nie potrzebują takiej infrastruktury; wystarczają im góry i podziemne tunele. Po pierdolnięciu kluski błyskawicznie chowają sprzęt. Zanim saudyjski samolot nadleci na miejsce, po celu nie ma już śladu.

Trudno się dziwić, że saudyjski następca tronu smarkał w rękaw Trumpa z prośbą o pomoc. Szczególnie że Amerykanie mają w regionie wokół Arabii Saudyjskiej potężne bazy i praktycznie cały katalog sprzętu, którym Pentagon lubi się chwalić na pokazach. Ale Ameryka nie chce otwierać nowego frontu, kiedy nie radzi sobie z Iranem. Bezpośrednie zmasowane bombardowanie Huti przez USA mogłoby bardzo rozgniewać Teheran. Dodatkowo Trump wygrał wybory, obiecując rodakom, że skończy z wiecznymi wojnami na Bliskim Wschodzie, które kosztują miliardy dolarów i życie amerykańskich żołnierzy. Jak wiadomo kłamał, ale rozpoczęcie nowego balu w Jemenie mogłoby pogorszyć jego i tak kiepskie notowania. Tu zachodzi jednak pewien paradoks.

Gazy i opary

Kryzys na Morzu Czerwonym stworzył sytuację, w której amerykańscy potentaci naftowi mogą otwierać szampana. Stany Zjednoczone jako największy producent i eksporter ropy i gazu pełnią rolę amortyzatora globalnych szoków podażowych. Gigantyczne ceny i przesunięcie popytu na bezpieczniejsze źródła generują dodatkową kasę dla koncernów i inwestorów. Amerykańskie firmy naftowe, jak np. ExxonMobil czy Chevron, wydobywają ropę na własnym, bezpiecznym podwórku i sprzedają ją po drastycznie zawyżonych, kryzysowych cenach. Każdy dolar na baryłce w górę pasie tłuste koty.

Im większy strach na Bliskim Wschodzie, tym chętniej świat kupuje amerykańską broń, amerykańską ropę i inwestuje forsę na bezpiecznej giełdzie w Nowym Jorku. Z kryzysu nie ucieszą się wyborcy; wysoka cena ropy natychmiast winduje inflację.

Notowania Trumpa pewnie trochę polecą i jest to niestety jedyna dobra informacja dla świata.

Ropa to jedno. Cena gazu na europejskiej giełdzie przekroczyła już pułap 80 euro za megawatogodzinę, a wiele wskazuje, że do końca roku przebije stówę. Dla Europy to kiepściutka wiadomość.

Nawet gdyby cieśnina Ormuz została odblokowana jutro, wojenne zniszczenia infrastruktury gazu ziemnego nieprędko da się naprawić. Katar ogłosił, że remont jego hubu Ras Laffan może potrwać nawet dwa lata. Słabo, bo Katarczycy odpowiadali za 20 proc. unijnych kontraktów długoterminowych na dostawy LNG. Przez cieśninę Bab al-Mandab przepływa ok. 10 proc. światowego handlu tym surowcem. Unijne magazyny gazu są zapełnione jedynie w 67 proc. Idzie zima…

W dupę dostaną przemysł nawozowy, chemiczny i metalurgiczny, co podkopie ich konkurencyjność m.in. wobec USA, gdzie gaz jest kilkukrotnie tańszy. Cytowany przez Reutersa Phil Flynn z Proce Futures Group szacuje, że nawet po trwałym zawieszeniu broni normalizacja przepływów przez Zatokę Perską i Morze Czerwone może potrwać od czterech do sześciu miesięcy.

Skutki geniuszu strategicznego Trumpa i Netanjahu zapamiętamy na długo.

IDALIA DUBICKA

Agent prawdę ci powie?

Jak pokochaliśmy CIA

Przed laty Budka Suflera dała słuchaczom dobrą radę: aby nie wierzyć nigdy kobiecie, bo można przepaść z kretesem. Ta piosenka przypomniała mi się, gdy rozczytywałam się w medialnych doniesieniach o dyrektorze CIA Johnie Ratcliffie, w którego polscy dziennikarze są wpatrzeni niczym licealista w swoją pierwszą miłość.

A nie mówiłem...

Ratcliffe przekazał Tuskowi raport dotyczący prognoz na najbliższe miesiące. Premier nie omieszkał skomentować tego faktu: „Tak jak już na ten temat mówiłem i ostrzegałem od wielu miesięcy, należy spodziewać się różnych scenariuszy. Polska i cała Europa muszą być przygotowane na różne scenariusze, jeśli chodzi o sytuację nie tylko na froncie rosyjsko-ukraińskim, ale także na wschodniej flance Unii Europejskiej”…

Tusk skromnie dodał, że Polska w tej chwili wykonuje najtrudniejsze zadania w UE: „Przepraszam, że tak powiem nieładnie – nikt tu łaski nikomu nie robi, tylko wszyscy musimy o to wspólnie zadbać, bo to jest kwestia bezpieczeństwa całej Unii”.

Zaraz pojawili się usłużni eksperci – np. były wiceszef Agencji Wywiadu Andrzej Derlatka, który stwierdził w TVN24 BIS, że Rosjanie uznają Polskę za jednego z największych wrogów, że mogą oni przeprowadzać „ataki na polskich żołnierzy, na polskich urzędników, na obywateli polskich, na instalacje, na obiekty na terenie Polski”.

Mateusz Morawiecki zażądał odtajnienia raportu CIA, uzasadniając to w egzaltowany sposób,


Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

a przy okazji wbijając szpilę Tuskowi: „Jeżeli rząd wie, że sytuacja może się dramatycznie pogorszyć, powinien natychmiast uruchomić mechanizmy konsultacji z opozycją i przedstawić jej rzeczywistą skalę zagrożenia – oczywiście w zakresie, na jaki pozwala bezpieczeństwo informacji”.

Stare PRON-cie w nowym froncie

Po obowiązkowej dozie złośliwości były premier wezwał do jedności: „Gdy nad Polską zbierają się czarne chmury, nie potrzebujemy kolejnej partyjnej wojny. Potrzebujemy państwa. Silnego, przygotowanego i zdolnego do działania. I jeśli rząd tego nie rozumie, to problemem staje się nie tylko Rosja. Problemem staje się również słabość polskiego państwa”…

Pozostaje zatem czekać, aż pojawią się pomysły jakiejś Rady Ocalenia Narodowego czy też rządu składającego się ze wszystkich sił parlamentarnych – w końcu ojczyzna w potrzebie, odrzućmy zatem spory, gdy Rusek swoje tanki i drony odrzutowe już wycelowuje w Warszawę, Gdańsk i Wrocław.

Kwestie służb specjalnych, zwłaszcza obcych państw (sojuszniczych, ale jednak kierujących się własnym interesem narodowym), są delikatne. Zawsze istnieje ryzyko, że będzie to ogon próbujący machać psem; że poprzez selekcję informacji, zniekształcenia czy zwykłe kłamstwa sprowadzą one na ów sojuszniczy kraj nieszczęście. Służby specjalne to domena informacji niejawnych, a tam, gdzie króluje tajność, łatwo o sprzedawanie rządzącym – jak mawiają Amerykanie – oleju wężowego, co to nie tylko leczy wszystkie choroby, lecz także naoliwi skrzypiące drzwi i poprawi cerę.

Łyk historii

Historia CIA to dzieje przekrętów, potajemnych zagranicznych ingerencji i nieudolności. Jakoś nikt w ostatnich dniach nie przypomina, że zamachy Al-Kaidy na Amerykę – których ćwierćwiecze właśnie obchodziliśmy – obnażyły skrajną niekompetencję agencji.

Gwoli ścisłości, dalej było jeszcze gorzej. CIA to instytucja biurokratyczna, która zwykła dawać rządzącym to, czego oni oczekują, nawet gdy prowadzi to do katastrofy. George W. Bush pokazywał mediom materiały wywiadowcze CIA, wedle których Saddam Husajn miał broń masowego rażenia. A co więcej, Irakijczycy powitają Amerykanów kwiatami – jako wyzwolicieli od tyranii krwawego dyktatora. Skutki tych kłamstw – finansowe, ale zwłaszcza ludzkie – były wręcz niewyobrażalne, ale żadnemu z podżegaczy wojennych nie spadł włos z głowy.

Muzułmanie – główne ofiary aktywności CIA w XXI w. – wierzą, że Allah podyktował Koran Mahometowi. Wyznawcy przyjaźni polsko-amerykańskiej z podobną nabożnością odnoszą się do słów agentów amerykańskich służb specjalnych i ich szefa – a są to wszak ludzie, którzy mają własne partykularne interesy, niekoniecznie zbieżne z interesami zwykłych Amerykanów, o Polakach nie wspominając.

Skoro polskie media i politycy tak kochają Wuja Sama, sugeruję w podejściu do CIA kierować się naukami Ronalda Reagana – a dokładnie jedynym rosyjskim zdaniem, jakiego nauczył się i w kółko potarzał: „Dowieriaj, no prowieriaj”.

K.K.

eprasa.pl 7eb08cd4f6

Co my byśmy bez niego zrobili?

Wina Putina



Rys. HENRYK CEBULA

Winny znaleziony, problem został

I to jest właśnie najpoważniejszy skutek takiego myślenia. Fałszywa diagnoza produkuje fałszywą terapię. Zamiast szukać rzeczywistych przyczyn problemów i próbować je usuwać, można ludziom podsunąć jednego, łatwego do rozpoznania winnego. Winnego niewątpliwie odrażającego i mającego na sumieniu wystarczająco dużo realnych zbrodni. Tyle że od tego polski kredyt hipoteczny nie stanieje.

Jeżeli człowiek marznie w mieszkaniu, bo energia kosztuje za dużo, najłatwiej powiedzieć mu: Putin zakręcił tani rosyjski gaz. Brzmi efektownie, tylko że Polska sama podjęła decyzję o odchodzeniu od rosyjskich surowców i zrobiła to z powodów politycznych.

Można uważać tę decyzję za słuszną – i jednocześnie uczciwie powiedzieć obywatelowi, że bezpieczeństwo energetyczne kosztuje.

Jeśli zaś zaczniemy wszystko sprowadzać do zdania „Putin nam to zrobił”, naturalne staje się pytanie: co z nim zrobić? A przecież mamy teraz takie wspaniałe amerykańskie czołgi, rakiety, systemy obrony przeciwlotniczej i 55 nowoczesnych myśliwców…

I w tym momencie propaganda ekonomiczna oparta na fałszu zaczyna niebezpiecznie przypominać przygotowywanie opinii publicznej do myślenia, że problemy ekonomiczne da się rozwiązać metodami wojskowymi, a nie polityką gospodarczą. Putin odpowiada za napaść na Ukrainę, śmierć, zniszczenia miast. Naprawdę nie trzeba mu dopisywać jeszcze mieszkań, których nie zbudował polski deweloper.

ROBERT JARUGA

W Karpaczu, tym naszym prowincjonalnym Davos, gdzie odór drogich cygar mieszał się z wyziewami z rur wydechowych limuzyn, które dowiozły pod Śnieżkę naszą polityczną menażerię, główny liczydłowy państwa, prezes GUS-u Marek Cierpiał-Wolan, wystawił Władimirowi Putinowi rachunek pod wdzięcznym tytułem „Rachunek dla Putina”. Z wyliczeń wynika, że rosyjska agresja na Ukrainę kosztowała naszą gospodarkę w latach 2022–2025 aż 490,1 mld zł.

To doprawdy imponujące. Można odnieść wrażenie, że Putin zarządza Polską z tylnego siedzenia i to bez wysyłania choćby jednego pijanego sołdata przez granicę. Gdyby nie ten wstrętny Wołodia, bylibyśmy dziś bogatsi o prawie pół biliona złotych – tak przynajmniej twierdzą urzędowi optymiści, którzy potrafią wycenić nawet brakujące szczęście narodowe.

Rachunek za fatamorganę

Żeby uświadomić sobie skalę tego urojonego długu, warto spojrzeć na unijną kasę. Przez 22 lata członkostwa Polska wycisnęła z Brukseli ponad 273 mld euro, czyli około 1,1 bln zł. Wychodzi na to, że Putin w zaledwie cztery lata zdołał nam „ukraść” wartość odpowiadającą 45 proc. wszystkiego, co przez ponad dwie dekady skapywało do nas z unijnego cyca. Jeśli to prawda, to Putin jest geniuszem ekonomicznej destrukcji na odległość, a nasi statystycy – mistrzami w znajdowaniu winnych własnej nieudolności.

Główny Urząd Statystyczny, z precyzją godną chirurga amatora, wyliczył nam straty, których nikt nie widział, ale za które wszyscy mamy nienawidzić jednego człowieka.

Oto ten rachunek:

– 292,1 mld zł – tyle rzekomo wyparowało z portfeli gospodarstw domowych;

– 126 mld zł – straty przedsiębiorstw, które zamiast zarabiać, musiały pewnie płakać nad losem świata;

– 72 mld zł – straty sektora rządowego i samorządowego, czyli biurokracja wyceniła własny ból istnienia;

– 154,2 mld zł – dodatkowe wydatki na zabawki dla wojska, wydane ponad to, co planowano w ustawie o obronie Ojczyzny;

– 46,7 mld zł – koszty Funduszu Pomocy, czyli cena naszej narodowej gościnności;

– około 70 mld zł – oszczędności zjedzone przez inflację, która w Polsce ma tylko jednego ojca: Adama Glapińskiego, a nie Władimira Putina.

– 426,5 mld zł – utracona wartość dodana brutto, czyli czysty oniryzm ekonomiczny;

– z czego aż 120,9 mld zł przypada na samo budownictwo – widocznie te wszystkie niepostawione płoty i niewylane fundamenty bolą najbardziej.

I tak, wiem, że to się nie składa – tam niespełna pół biliona, a tutaj 1,2. Czytajcie dalej.

Straty z komputera

Wszystko wyjaśnić ma zastrzeżenie samego prezesa GUS-u: tych liczb nie wolno do siebie dodawać. To wspaniałe! Mamy listę strat, która nie tworzy sumy, bo to „różne przekroje i sposoby opisywania”. To tak, jakbym w restauracji dostał rachunek za zapach pieczeni, kolor wina i uprzejmość kelnera, ale nie mógł ich zsumować, bo to „różne aspekty konsumpcji”.

GUS przyznaje, że to „wynik prac eksperymentalnych”. W tłumaczeniu z urzędniczego na ludzki: „sami nie wiemy, jak to policzyliśmy, ale liczby wyglądają groźnie, więc je puszczamy w eter”. Metodologia ma się dopiero narodzić, raport jest w powijakach, ale propaganda już świętuje.

Mamy tu do czynienia z tzw. scenariuszem kontrfaktycznym. GUS zbudował sobie w komputerach Polskę Alternatywną – krainę mlekiem i miodem płynącą, gdzie nie ma wojny, ceny stoją w miejscu, a rząd jest genialny. Potem porównał tę bajkę z naszą szarą rzeczywistością i różnicę nazwał „winą Putina”. Rzecz w tym, że tej „lepszej Polski” nikt nigdy nie widział, poza urzędnikami GUS-u, którzy najwyraźniej zaczęli eksperymentować z substancjami znacznie mocniejszymi niż statystyka.

Spójrzmy na te liczby chłodnym okiem. Jeśli odcedzimy statystyczne urojenia od twardej rzeczywistości, na dnie zostają tylko dwa konkrety.

Po pierwsze: 154,2 mld zł wydane na militarną biżuterię ponad to, co planowano przed inwazją. Nazywanie tego stratą to semantyczne oszustwo. Jeśli państwo kupuje czołgi, to te miliardy nie idą z dymem, tylko zamieniają się w żelastwo, którym nasi generałowie mogą się bawić na poligonach.

Po drugie: 46,7 mld zł z Funduszu Pomocy. Tu sprawa jest prosta jak konstrukcja cepa: nie byłoby milionów ludzi uciekających przez granicę, nie byłoby rachunku za naszą narodową, choć sowicie opłaconą gościnność.

Reszta tych miliardów to wyliczanie zysków z interesów, których nigdy nie zrobiliśmy, w świecie, który nie istnieje. To tak, jakbym płakał nad fortuną, której nie wygrałem w ruletkę, bo akurat nie poszedłem do kasyna.

Gospodarka gasi światło

Sprawa jest jednak naprawdę poważna, choćby dlatego, że pod tym statystycznym voodoo GUS-u kryje się twarda rzeczywistość. Polska gospodarka naprawdę dostała zadyszki i zaczęła poruszać się z gracją paralityka. Firmy przestały rzucać pieniędzmi na prawo i lewo, a konsumenci oglądają każdą złotówkę. Kredyty stają się kamieniem u szyi. A co słyszymy z gabinetów prezesów? Komunały o „optymalizacji kosztów”, „restrukturyzacji zatrudnienia” czy „dostosowaniu organizacji do warunków rynkowych”. Korporacyjna łacina w tłumaczeniu na polski oznacza jedno: „Wypierdalać, zwalniamy was”.

Z niepokojem liczymy ofiary: tu „sto osób”, tam „pięćset”, gdzie indziej „dwa tysiące”. Kiedy zarząd ogłasza „program poprawy efektywności”, każdy trzeźwy pracownik wie, że nie chodzi o wkręcanie energooszczędnych żarówek, tylko o gaszenie światła nad jego biurkiem. Każdy wzrost ceny benzyny o „kilkadziesiąt groszy” na litrze urasta do rangi dramatu narodowego i kryzysu gabinetowego.

Sinusoida winy

Z czego to wszystko wynika? Ano z tego, że gospodarka kapitalistyczna nie jest linią narysowaną od lewego dolnego rogu kartki ku świetlanej przyszłości w prawym górnym. Bardziej przypomina sinusoidę. Najpierw wspina się na szczyt, potem zaczyna zjazd, od którego niejednemu wywracają się flaki. Po okresie wzrostu przychodzi spowolnienie, po optymizmie inwestycyjnym – ostrożność, po łatwym pieniądzu – drogi kredyt. Nazywa się to po prostu dekoniunkturą.

I w taki sposób powinien patrzeć na gospodarkę prezes najważniejszej instytucji statystycznej państwa: oddzielać pozorne przyczyny od faktycznych skutków, ważyć ich znaczenie, badać związki, a przede wszystkim nie mylić korelacji z odpowiedzialnością. Bo tego rodzaju rachunki zaczynają żyć własnym życiem.

Jeśli każdą słabość polskiej gospodarki przypiszemy wojnie i Putinowi, to bardzo łatwo dojść do wniosku, że również odpowiedzialność za stan Polski znajduje się gdzieś w Moskwie. A to już nie jest niewinny błąd metodologiczny; to niebezpieczna wygoda.

Czy mi się zdaje, czy Ursula von der Leyen opuściła szeregi podżegaczy wojennych?

Cuda w Brukseli

W sumie bodaj pierwszy raz w historii swoich rządów Ursula von der Leyen mówiła o takiej Europie, do której 22 lata temu wstępowaliśmy, a nie o tym zastraszonym i opętanym militarnym amokiem przedmurzu Ameryki, w które UE ostatnio się przepoczwarzyła.

Ze środowego „Orędzia o stanie Unii” wygłoszonego przez szefową KE polskie media wydłubały kilka fragmentów po swojej myśli – np. postulat europejskiego odpowiednika art. 4 NATO – i przedstawiły je jako wielkie zawołanie do broni. W realu akcenty były rozłożone nieco inaczej.

Ukraina pojawiła się mniej więcej po trzech kwadransach – i to w kontekście głównie humanitarnym: że przed Ukraińcami ciężka zima, więc im pomożemy z prądem i ogrzewaniem. Jeśli chodzi o pomoc militarną – to mowa była tylko o systemie obrony przeciw atakom z powietrza; Ursula starannie ominęła temat uzbrojenia o charakterze ofensywnym. Dość wyraźnie zapowiedziała też, że nie będzie nowych sankcji przeciw Rosji: „Naciski na Rosję muszą być intensyfikowane. Nie zawsze muszą to być jednak nowe sankcje. Chodzi przede wszystkim o egzekwowanie sankcji już nałożonych”…

Było oczywiście sporo standardowych zaklęć na temat niezłomnego ukraińskiego ducha – ale cały ten passus wyglądał na nieco wymuszony. A już pomysł opędzenia tematu za pomocą zaproszenia do PE 10-letniej Saszy, która straciła nogę w rosyjskim ataku rakietowym, a mimo tego zrealizowała swoje marzenie o zostaniu gimnastyczką – był po amerykańsku żałosny.

Sasza nie była zresztą jedynym żywym rekwizytem w wystąpieniu Ursuli. Wcześniej do oklasków zostali wywołani dwaj młodzi technobiznesmeni – „Rafał z Polski i Pekka z Finlandii” – oraz matka i bracia duńskiego pilota, który zginął podczas gaszenia pożarów w Grecji. Te dwa tematy – konkurencyjność gospodarki z naciskiem na badania i rozwój, a także odważne wizje finansowania oraz zmiany klimatu – pojawiły się w wystąpieniu szefowej PE wcześniej i otrzymały wyraźnie więcej uwagi niż Ukraina.

Zagrożenia klimatyczne, walka z pożarami, ubezpieczenia rolników od suszy, konieczność rozwoju OZE, a nawet kwestia zapobiegania przeciekom w wodociągach – znalazły swoje miejsce wysoko nad Saszą. Sporo było też o niezbędnej regulacji sztucznej inteligencji i podporządkowaniu jej europejskim wartościom, o ochronie zagrożonych miejsc pracy – padło nawet zdanie o „zapewnianiu pracownikom równych szans”.

I to nie koniec lewackich enuncjacji. Usłyszeliśmy też, że możliwość pozostania w swoim regionie, dostęp do opieki czy mieszkań „to nie są przywileje, to są prawa”. Osobny – i wygłoszony z ogniem – passus poświęcony był „równemu traktowaniu, równości szans i równości wynagrodzeń” kobiet, których prawa są dziś kwestionowane.

Tę zmianę szczególnie dobitnie podkreśliła obecność kanadyjskiego premiera Marka Carneya – polityka, który stał się światowym liderem oporu wobec szaleńczej dyktatury pomarańczowego dementa. Oświadczenie, że Kanada stanie się „pierwszym członkiem stowarzyszonym UE”, okraszone deklaracją, że „władza nie należy do najsilniejszego, najbogatszego czy najgłośniejszego” – było jawnym wypowiedzeniem posłuszeństwa USA i prawie że zrehabilitowało Ursulę za jej pokorne przyjęcie dyktatu Trumpa w sprawie nieodwzajemnionych ceł i obowiązku zakupów zbrojeniowych w USA z lipca zeszłego roku.

Rozczarowujący był fragment poświęcony Palestynie – wzmianka o „nieopisanym cierpieniu w Strefie Gazy” zabrzmiała bezosobowo, jakby chodziło o akt natury, a nie izraelskie ludobójstwo; była także nieprzystająca do skali zbrodni wojennych, popełnianych przez państwo, z którym UE ma czynną umowę stowarzyszeniową. Ale trzeba docenić trafne zauważenie szefowej KE o rozczarowaniu „wielu Europejczyków” bezczynnością UE wobec izraelskich zbrodni – nawet jeśli szybciutko zrzuciła winę na „państwa członkowskie”, które „nie były w stanie osiągnąć większości niezbędnej do zgodnej reakcji”.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Warto też odnotować, że tak fetyszyzowane przez Donalda Tuska „bezpieczeństwo” było raczej tłem niż pierwszoplanowym bohaterem Ursulowego orędzia, a jego ukochany program SAFE pojawił się tylko raz – w kontekście resztek finansowych, które zostaną przeznaczone na program europejskiej tarczy antyrakietowej Freyja. Tej, do której współtworzenia Polska nie została zaproszona. Także szaleńczy wzrost wydatków militarnych, choć kilka razy wspomniany, nie był przedstawiony jako centralny powód do dumy szefowej Komisji Europejskiej.

Mam oczywiście cyniczną myśl, że ten nowy ton Ursuli von der Leyen, nieomal godny rangi funkcji, jaką sprawuje, nie jest wynikiem głębokich przemyśleń ideowych – a raczej badań i analiz dotyczących wzrostu popularności sił antyunijnych w najważniejszych krajach UE.

Może ktoś wreszcie wpadł na to, że jeśli UE ma przetrwać – musi na powrót stać się wspólnotą aspiracji, sprawiedliwości społecznej, pokoju i współpracy z sąsiadami, a nie cięć socjalnych, szaleństwa zbrojeń, wojennej retoryki i bezrefleksyjnej rusofobii. Dobrze byłoby także przypomnieć sobie o wartościach, które każą przeciwstawiać się ludobójstwu prowadzonemu na oczach świata – zamiast kunktatorsko unikać tematu w obawie przed gniewem wielkiego brata.

Ciekawe, do jakiego stopnia Ursuli i jej komisarzom uda się wyciągnąć z tego wnioski.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

eprasa.pl 7eb08cd4f6

Rozszczepienie

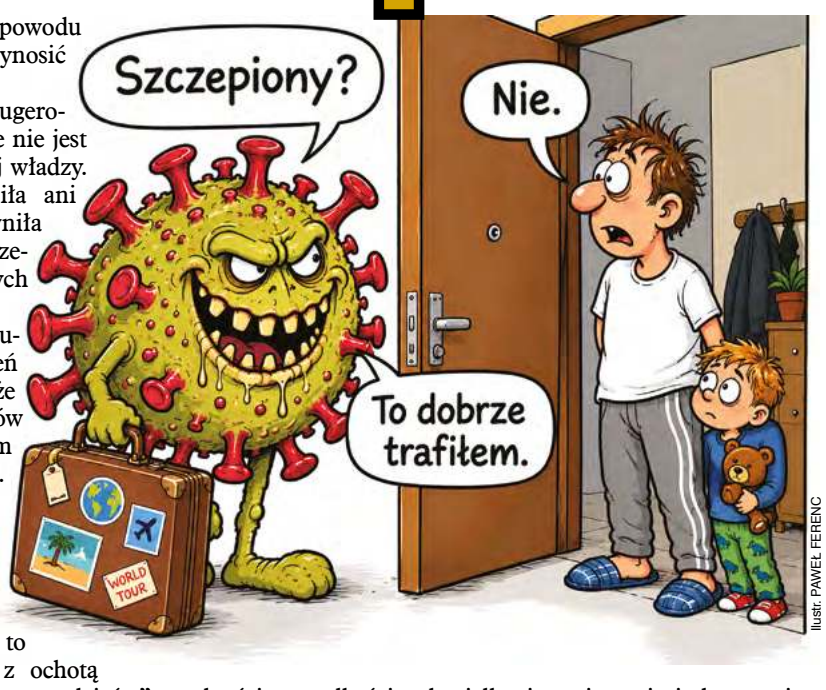
Państwo dba, żeby dzieci szczepili tylko ci, co chcą

Przez lata byliśmy karmieni liczbami, od których powinien się zjeżyć włos na głowie. W 2010 r. wykazywano 3437 uchyleń od obowiązkowych szczepień. W 2013 r. – 7248, w 2016 r. – 23 147, a w pandemicznym 2020 r. – 50 575. U schyłku władzy PiS doliczono się w 2023 r. aż 87 344. Od 2010 r. liczba wzrosła więc 25 razy.

Niepoliczalne

Tyle że statystyka ta miała pewną drobną wadę. Nie była liczbą nowych odmów w danym roku, tylko zbiorem przypadków sumowanych z kolejnych lat. Jeśli dziecko nie zostało zaszczepione w jednym roku, mogło zostać doliczone do następnego zestawienia, a potem do jeszcze następnego. Do jednego worka trafiały odmowy ideologiczne, odroczenia medyczne, wyjazdy, zmiany lekarza, niedostarczone dokumenty i zwykły bałagan. Polska statystyka stworzyła zatem antyszczepionkowca wielokrotnego użytku. Raz niezaszczepione dziecko mogło straszyć w tabelach przez wiele sezonów.

Obecna ekipa może więc pochwalić się odkryciem nader rewolucyjnym. Policzyła dzieci jeszcze raz. Zajrzano do ponad 7,3 mln papierowych kart uodpornienia obejmujących 19 roczników. Prawie 500 tys. dokumentów odłożono do dalszego sprawdzania, bo coś się w nich nie zgadzało. Nie było kontaktu z rodziną, dziecko zmieniło przychodnię, wyjechało, karta była niepełna albo szczepienie przesunięto. Gdy główny inspektor sanitarny przedstawiał pierwsze wyniki, zweryfikowano około 30 proc. tej półmilionowej sterty. Okazało się, że szczepienia obowiązkowe w pierwszych pięciu latach życia są wykonywane średnio u 89–95 proc. dzieci, a w poszczególnych rocznikach wszystkich niezaszczepionych jest około 5–10 proc. Po odjęciu przeciwwskazań medycznych i innych zasadnych przyczyn udział dzieci niezaszczepionych z powodu decyzji rodziców ma wynosić 4–5 proc.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

To dużo mniej, niż sugerowały stare wykresy – ale nie jest to żaden sukces obecnej władzy. Kontrola nie zaszczepiła ani jednego dziecka. Ujawniła jedynie, że państwo wcześniej źle liczyło te, których zaszczepić nie potrafiło.

Sprostowanie nadmuchanej statystyki uchyleń nie zmienia tego, że w ostatnich latach rządów PiS rzeczywisty poziom szczepień dzieci spadał. Partia, która potrafiła nocą przepchnąć ustawę zmieniającą sądy i prokuraturę, wobec papierowej karty szczepień okazała się bezradna. Za to środowiska prawicowe z ochotą podchwytywały język „praw rodziców", „wolności medycznej" i „przymusu". Było to nader wygodne, bo pozwalało jednocześnie opowiadać o ochronie życia dzieci nienarodzonych oraz zostawiać dzieci już urodzone wyłącznie decyzjom rodziców mających się za ich właścicieli.

Karalność symboliczna

Teoretycznie rodzic, który nie wykona obowiązku szczepień, może dostać jednorazowo do 10 tys. zł grzywny, a łącznie nawet 50 tys. zł. Dla antyszczepionkowców brzmi to tak samo groźnie jak kara za nieopłacenie abonamentu RTV, obowiązek meldunkowy i mnóstwo innych przepisów, których polskie państwo używa od święta.

Najpierw przychodnia powinna zgłosić brak szczepienia. Potem inspekcja sanitarna ustala, co się stało. Rodzice dostają wezwanie, następnie upomnienie, później tytuł wykonawczy, a w końcu wniosek trafia do wojewody, który może wymierzyć grzywnę w celu przymuszenia. Jeśli rodzic nadal nie szczepi, procedurę można powtórzyć. Na papierze wszystko działa. W realnym świecie kontrolerzy NIK ustalili, że sanepid ścigał opornych średnio około 600 dni, a niektóre postępowania ciągnęły się nawet trzy lata. Dziecko zdążyło pójść do przedszkola, zmienić przychodnię albo dostać zaległą dawkę, a korespondencja wciąż krążyła między urzędami.

Bo państwo chyba nie lubi egzekwować. W 2014 r. sanepidy wystawiły 4081 upomnień, 1090 tytułów wykonawczych i skierowały do wojewodów 901 wniosków. W 2019 r. było 6183 upomnień, 3397 tytułów oraz 3301 wniosków. W 2023 r. wartości wzrosły do 7877 upomnień, 4718 tytułów i 4383 wniosków.

W praktyce rodzice najczęściej dostawali około 1000 zł grzywny. Maksymalna kwota 10 tys. zł była rzadkością tak wielką, że w ciągu pięciu lat w województwie podlaskim zastosowano ją dwa razy.

Sanepid zapewniał, że „karanie to naprawdę ostateczność". I można mu wierzyć. W Polsce wszystko, co mogłoby zirytować obywatela i popsuć politykowi wynik wyborczy, staje się ostatecznością na długo przed tym, zanim staje się skuteczne.

Totalna inwigilacja

Izabela Leszczyna w lutym 2025 r. obiecała, że elektroniczna karta szczepień powstanie do końca roku. W kwietniu 2026 r. przyjęto rekomendację utworzenia centralnego rejestru danych o szczepieniach. Ministerstwo nie uruchomiło więc e-karty, ale proces prowadzący do tego, żeby kiedyś można ją było uruchomić.

Skuteczniejsze rozwiązanie znalazły niektóre samorządy. Białystok zmienił w 2025 r. zasady rekrutacji do miejskich żłobków i uzależnił przyjęcie dziecka od wykonania obowiązkowych szczepień albo przedstawienia zaświadczenia o przeciwwskazaniach medycznych. Nie chodziło o szkołę, do której każde dziecko musi zostać przyjęte, lecz o samorządową opiekę żłobkową, gdzie miejsc było mniej niż chętnych. Miasto uznało, że publiczna placówka może premiować rodziców przestrzegających obowiązku chroniącego również cudze niemowlęta.

Państwo na podobne rozwiązanie się nie zdecydowało. Nie stworzyło jednolitych zasad dla żłobków i przedszkoli. Nie uzależniło korzystania z wybranych świadczeń od przedstawienia dokumentacji szczepień. Nie wprowadziło obowiązkowego sprawdzania kalendarza przy bilansie sześciolatka przed szkołą. Nie skróciło ustawowo egzekucji. Nie przyjęło obowiązkowej e-karty. Nie uruchomiło dużej stałej kampanii informacyjnej skierowanej do rodziców niemowląt. Zrobiło kontrolę, powołało zespół i przygotowało uchwałę. Czyli administracyjnie się wykazało.

Dlaczego rząd robi tak mało? Oficjalna odpowiedź będzie pełna słów o edukacji, budowaniu zaufania, informatyzacji i unikaniu stygmatyzacji. Wszystko to ma sens. Rodzica nieprzekonanego warto najpierw poinformować, a nie od razu karać. Lekarz powinien mieć czas na rozmowę. Państwo powinno publikować przejrzyste dane o niepożądanych odczynach i reagować na nieuczciwość firm farmaceutycznych. Tyle że między rozmową a trzyletnią bezczynnością istnieje jeszcze parę możliwości.

Nieoficjalna odpowiedź jest prostsza. W maju 2026 r., gdy przedstawiono koncepcję elektronicznej karty szczepień, poseł Konfederacji Paweł Usiądek ogłosił, że powstaje „wielka infrastruktura przymusu szczepień" i że „system namierzy każde dziecko bez szczepionki". Brzmiało to mocno dramatycznie, choć proponowany system miał robić dokładnie to, co państwo powinno robić od dziesięcioleci: wiedzieć, które obowiązkowe świadczenia zostały wykonane, a które nie. Ale politycznie hasło o „namierzaniu dzieci" jest znacznie użyteczniejsze niż zdanie o integracji dokumentacji medycznej. A partie rządzące patrzą na sondaże. Wiedzą, że Konfederacja rośnie nie tylko dzięki podatkom, migracji i niechęci do Unii. Żywi się każdą sprawą, którą można przedstawić jako konflikt zwykłego człowieka z państwowym przymusem. Szczepienia nadają się do tego idealnie. Jest dziecko, urzędnik, koncern farmaceutyczny, dane medyczne w państwowym rejestrze. Wystarczy dodać słowo „namierzanie", a zwykła ewidencja staje się dystopią.

Koalicja rządząca nie chce więc dać Konfederacji prezentu. Boi się obrazków z policją i płaczącą matką oraz opowieści o odbieraniu dzieci. Woli, żeby sanepid najpierw rozmawiał, później pisał, następnie ponownie rozmawiał, a po dwóch latach poprosił wojewodę o 1000 zł mandatu.

Wtedy nikt nie zrobi wielkiej awantury.

Antyszczepionkowcy mogą zatem spokojnie robić swoje. Mają internet, konferencje, prawników, posłów i sejmowe sale. Państwo ma papierowe karty, średnio 600 dni postępowania oraz zespół do opracowania elektronicznego systemu. Jedni zniechęcają rodzica do szczepienia w trzyminutowym filmie, drudzy będą przez trzy lata ustalać, czy ten film odniósł skutek.

A kiedy e-karta w końcu powstanie, rząd obwieści sukces. Będzie wiedział dokładnie, które dziecko nie zostało zaszczepione. Potem, uzbrojony w tę wiedzę, wyśle rodzicom upomnienie. O ile oczywiście wcześniej nie sprawdzi w sondażach, czy może sobie na to pozwolić.

TADEUSZ JASIŃSKI

MÓŻDŻEK TYGODNIA


Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Lider Konfederacji i prezes Nowej Nadziei nazywał się Mentzen, miał na imię Sławomir – i był durniem. Przynajmniej tak od kilku dni o sobie myślał. Kompletny dureń!

No bo jakim epitetem określić kogoś, kto wyznaczył na kandydata na prezydenta Krakowa durnia Bartosza Bocheńczaka, który do zbierania podpisów wyznaczył durniów niepotrafiących zliczyć do trzech? Do trzech tysięcy.

Dureń na durniu i durniem pogania! – samokrytycznie zawołał Mentzen w myślach, czując, że tego ranka ma depresję. Nie chciało mu się wstawać z łóżka żadną nogą – ani prawą, ani tym bardziej lewą. Miałby ochotę się napić, gdyby pił. Albo wciągnąć kreskę, gdyby… No! Chyba jednak będzie musiał zwlec się z wyra.

Ale jeszcze poleży, pomyśli, pozastanawia się, pomedytuje o sobie. O tych pieprzonych kryptowalutach, o tym durniu Wiplerze. Kolejnym kompletnym durniu z Konfederacji. Ten, w przeciwieństwie do Bocheńczaka, umiał liczyć doskonale: do stu sześćdziesięciu tysięcy. Euro.

A może – myślał Mentzen – jestem pieprzonym durniem, bo jestem pieprzonym prawicowcem? Tak jak Bocheńczak, Wipler i inni. Bo wszyscy prawicowcy są skażeni kompletną, organiczną głupotą. Choćby wyłazili ze skóry, to nie zmądrzeją, bo głupota jest immanentną cechą prawicy.

Ta konstatacja wstrząsnęła Mentzenem jak butelką Moet & Chandon Imperial Brut. Nie był już osłabiony depresją, lecz pobudzony niespodziewaną zależnością głupoty od prawicowości i prawicowości od głupoty.

Wstał z łóżka prawą nogą, pobiegł do łazienki i skręcił studolarowy banknot. Aaaach! Pełen nowych sił, postanowił, że za kwadrans zadzwoni do Adriana Zandberga i zapyta, jak to jest być lewicowcem. Tylko czy tym telefonem nie zrobi z siebie jeszcze większego durnia?

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Komu odjechał peron?

Rząd chce zabierać prawa jazdy za wtargniecie na tory. Znowu.

Po katastrofie pociągu w Sokolnikach rząd postanowił ukręcić bat na niefrasobliwych kierowców łamiących przepisy na przejazdach drogowo-kolejowych. Minister infrastruktury Dariusz Klimczak zapowiedział ekspresowe wprowadzenie sankcji, a premier Tusk propozycje twardych zmian. Głupio wyszło. Projekt nowelizacji przepisów, który przewidywał utratę prawa jazdy za nieuprawniony wjazd na przejazd, był gotowy rok temu. Ustawę uchwalono, ale przepis z niej wyparował.

Lokomotywa zmian

Do wypadku doszło 9 września w Sokolnikach Suchych pod Przysuchą w woj. mazowieckim. W zderzeniu pociągu z ciężarówką poszkodowanych zostało 20 osób. Cztery trafiły do szpitala, jedna z pasażerek zmarła, a maszynista IC „Koziołek" doznał złamania kręgosłupa. Kierowca ciężarówki wjechał na przejazd pomimo czerwonego światła.

Kilka dni wcześniej w Gdańsku inny kierujący ciężarówką wykonał podobny manewr. Zignorował sygnalizację świetlną i wjechał na przejazd w momencie, gdy rogatki zaczęły opadać. Zamiast wyłamać szlaban i zjechać z torowiska, zaczął manewrować i cofać, przez co pojazd utknął wprost przed nadjeżdżającym pociągiem. IC „Bachus" spektakularnie rozkawałkował naczepę ciężarówki. Obrażenia odniosły cztery osoby: kierowca ciężarówki, konduktor oraz dwóch pasażerów. Gdyby tylko pociągi mogły gwałtownie skręcać…

11 września Związek Zawodowy Maszynistów Kolejowych zorganizował swoisty strajk włoski: od północy do południa na wszystkich przejazdach pociągi zwalniały do „prędkości bezpiecznej", czyli 20 km na godzinę. Kolejarze domagali się inwestycji w infrastrukturę i zabezpieczenia techniczne oraz drastycznego zaostrzenia kar dla kierowców.

Według danych zebranych przez PKP w ramach kampanii Bezpieczny Przejazd w 2025 r. doszło do 185 podobnych wypadków, w których zginęło 58 osób, a 18 zostało rannych. Do końca sierpnia tego roku licznik zatrzymał się na 130 zdarzeniach i 34 trupkach.

– Chcemy wprowadzić przepis, na podstawie którego każdy kierowca, który wjedzie na przejazd drogowo-kolejowy, kiedy jest zapalone czerwone światło, straci prawo jazdy, zostanie mu zatrzymane na trzy miesiące – zapowiedział w TVN24 minister infrastruktury Dariusz Klimczak. Podkreślił też, że przepisy zostały już skonstruowane.

Ba, i to w ubiegłym roku. Kłopot w tym, że gówno z nich wynikło.

Kręte drogi

W styczniu 2025 r. kierowane przez Klimczaka Ministerstwo Infrastruktury skierowało do uzgodnień projekt nowelizacji Prawa o ruchu drogowym. Pierwotnie bogaty w rozmaitości kwit nie zawierał przepisów o przejazdach kolejowych. Sytuacja zmieniła się w połowie roku. Do projektu dopisano możliwość zatrzymania prawa jazdy za wjazd za sygnalizator nadający czerwony sygnał umieszczony przed przejazdem kolejowym.

Temat nabrał rumieńców na początku lipca 2025 r. Podczas posiedzenia sejmowej komisji infrastruktury wiceminister resortu Stanisław Bukowiec uprzejmie zauważył problem, zapewniając, że jeśli chodzi o „temat przejazdy kolejowe", to oni „wspólnie z Departamentem Kolejnictwa, z panem ministrem Piotrem Malepszakiem bardzo mocno przystąpili do wspólnych działań". Bukowiec odnotował odkrywczo, że „śmierć maszynistów i śmierć kierowców na przejazdach drogowo-kolejowych wiąże się z zarówno tragedią osobistą, też z kosztami zdrowotnymi, społecznymi, ale również z ogromnymi kosztami związanymi z infrastrukturą". Na koniec podkreślił: „W projekcie zapisaliśmy propozycję automatycznego zatrzymania prawa jazdy na okres trzech miesięcy w przypadku kierującego, który zbagatelizuje sygnalizację, zbagatelizuje rogatki opuszczone i wjedzie na przejazd. Uważamy, że w tym przypadku jest to konieczność, dlatego że liczba tych zdarzeń jest za duża".

eprasa.pl 7eb08cd4f6

GADMAN

Obrona gabinetu przy pomocy kanapy to nowe Westerplatte PiS

Cyrk prezesa

„Jestem cały czas na szóstym piętrze, dosłownie przy drzwiach prowadzących do sekretariatu i gabinetu rektora. Tutaj znajduje się ta słynna już kanapa, przez którą pan Cudak próbował przejść, żeby dostać się do drzwi. Cały czas czuwam, żeby nie doszło do siłowego wejścia” – tak Maria Kurowska, poseł PiS, relacjonowała w TVP Republika z siedziby Akademii Wymiaru Sprawiedliwości. Uczelni służb państwowych utworzonej w 2018 r., za rządów PiS, podległej ministrowi sprawiedliwości. Kształcącej funkcjonariuszy Służby Więziennej.

Kiedy minister sprawiedliwości Żurek odwołał jej rektora Michała Sopińskiego, powołanego przez PiS, Sopiński ogłosił, że nie czuje się odwołany. Bo nie dostał pisemnej decyzji. Bo zapewne uprzedzony, przestał odbierać przesyłaną mu pocztę.

Kiedy nowy rektor Sławomir Cudak chciał podjąć swe obowiązki, zastał przed rektorskim gabinetem kordon Telewizji Republika oraz „zawodowego solidarnościowego opozycjonistę” Adama Borowskiego. Śpieszący im na pomoc poseł PiS Sebastian Kaleta spóźnił się. Potem policja usunęła z gmachu ekipę TV Republiki i Borowskiego.

Ale rektor Cudak do gabinetu nie wszedł. Szybsza okazała się poseł Kurowska, która zablokowała drzwi wejściowe kanapą Sopińskiego. I swą obronę gabinetu rektora przed siepaczami Tuska zaczęła relacjonować na żywo w TV Republika.

Obrona gabinetu przy pomocy kanapy stała się nowym Westerplatte PiS. Stratedzy i taktycy partii Kaczyńskiego uznali bowiem, że odwołanie rektora AWS to poligon doświadczalny ekipy Tuska. Próba generalna przed zajęciem gabinetu prezesa Trybunału Konstytucyjnego.

Dlatego w obronę Sopińskiego zaangażował się prezes Kaczyński, a poseł Kurowska szybko stała się nową twarzą jego partii. Bojową, dramatycznie meldującą, że ciągle stara się nie zasnąć. Że ma nadal dostęp do wody i toalety i „jeszcze wodę butelkowaną, ale zapas się kończy”.

Na jej szczęście w Warszawie rządzonej przez Trzaskowskiego kranówa smakuje tak samo jak butelkowana.

Kłopotliwi suwerenni

Zapewne prezes Kaczyński wolałby dziś mieć inny wizerunek swej partii. Poseł Kurowska do tej pory słynęła z obrony kotletów schabowych rugowanych ze szkolnych stołówek przez wrażego Tuska. Represjonowany schaboszczak jawił się w jej ustach jak gastronomiczny sztandar polskości. Blokujący, niczym teraz kanapa, falę pedalsko-lewackiej antypolskiej kaszy gryczanej. Podstępnie zalewającej stołówki szkolne i żołądki polskich dzieci. Choć tak naprawdę kasza gryczana to znane staropolskie danie. Zaś kotlet schabowy, te smażone zwierzęce zwłoki, przybyły do Polski dopiero w XIX w. Z Niemiec. Niejeden z tamtych kotletów miał dziadka w kantynie pruskiej armii.

Poseł Kurowska jest też jedyną parlamentarzystką w ekipie ziobrowskiej Suwerennej Polski, dawniej zwanej Solidarną Polską. W październiku 2024 r. na Kongresie PiS podjęto uchwałę o połączeniu się z Suwerenną Polską. Wtedy wiceprezesami PiS zostali Patryk Jaki i Zbigniew Ziobro. Poseł Michał Wójcik wszedł w skład Komitetu Politycznego PiS. A w Komitecie Wykonawczym zasiedli Sebastian Kaleta, Dariusz Matecki i Marcin Warchoł.

Teraz wiceprzewodniczący Zbigniew Ziobro jest nie tylko poszukiwanym przez organy ścigania zbiegiem przebywającym w USA i udającym tam korespondenta TV Republika. Jest twarzą powszechnie już znanej afery Zondacrypto. Politykiem, który publicznie przyznał się, że

wziął pieniądze od gangsterów, bo naiwnie myślał, że są uczciwi. To jeszcze prawicowi wyborcy by mu wybaczyli. W ich Polsce moralne jest, kiedy polityk kradnie dla matki partii. Ale Ziobro przyznał się, że część tej kasy wziął dla siebie. I tego mu nawet wyborcy PiS nie mogą wybaczyć.

W normalnym czasie prezes Kaczyński wyrzuciłby Ziobrę albo taktycznie wypchnął ze swej partii. Tak kiedyś już uczynił.

Zwłaszcza że pupilek i współpracownik Ziobry, poseł Marcin Romanowski, też zbiegł za granicę. Też jest oskarżony o kradzież pieniędzy polskich podatników. Ale nie wiadomo, ile ukradł dla partii, a ile dla siebie. Bo Romanowski nie udaje korespondenta TV Republika i nie przemawia do wyborców PiS.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Plotki głoszą, że ukrywa się w zaprzyjaźnionym klasztorze Opus Dei w separatystycznym Naddniestrzu. Romanowski jest też świeckim zakonnikiem Opus Dei. Zwanego przez przeciwników katolicką mafią.

Na pewno działalność Romanowskiego kompromituje wizerunek Opus Dei i Kościoła katolickiego na świecie. W Polsce już nie, bo u nas poziomy moralne Kościoła katolickiego i Opus Dei wręcz przebijają moralne dno.

Ostatnie sondaże polskiej opinii publicznej wskazują, że afery Ziobry jednak odbierają poparcie partii Kaczyńskiego. Tak uważają nawet wyborcy PiS. Wyczuł to separatysta Mateusz Morawiecki i zaczął krytykować złodziejstwa Ziobry w mediach. „W środowisku Rozwoju Plus nie mamy sobie nic do zarzucenia. Nikt z nas nie jeździł na zagraniczne wyspy spotykać się ze złodziejem Kralem, nikt z nas nie namawiał do tego, żeby realizować jakąś ustawę, która jest na rękę Kralowi albo jakimś innym środowiskom” – mówił w Kanale Zero.

Kiedy przypomniano mu, że ten aferzysta Ziobro był w jego rządzie ministrem sprawiedliwości, powody tego Morawiecki, wyjątkowo szczerze, wyjaśnił. Musiał mieć Ziobrę w rządzie, bo ówczesna większość parlamentarna zależała od poparcia grupy parlamentarzystów związanych z Ziobrą.

Dziś jest podobnie. Po secesji morawian samo już potępienie Ziobry przez Kaczyńskiego groziłoby mu kolejną secesją. Odejściem z klubu parlamentarnego PiS przynajmniej kilkunastu ziobrystów. Wśród nich Marii Kurowskiej, zwanej już w sejmie poseł z jajami. 70-latki, która jak młódka żongluje kanapą w gabinecie rektora AWS.

Pluje i szczekaczki

Ale nie tylko afery Ziobry i Romanowskiego dołują partię Kaczyńskiego.

O pobieranie pieniędzy od gangsterskiej Zondacrypto pomawiany jest też poseł PiS Michał Moskal. Pupilek prezesa Kaczyńskiego.

Aferzysta Przemysław Kral miał zeznać, że spotkał się z posłem Moskalem na Ibizie. Tam ugościł go, bo chciał, aby poseł dodał do ustawy o kryptowalutach korzystne dla mafii poprawki.

Poseł Moskal przyznał się do biesiadowania z Kralem, ale do przyjęcia zlecenia od niego już nie. Oświadczył też, że zwrócił Kralowi kasę, jaką ten wydał na zakup biletów, hoteli, wiktu i opierunku dla Moskala. Wszystko co do grosza, w gotówce. Z ręki do ręki, bez pokwitowania, na słowo, bo jest człowiekiem honoru. Wierzył, że Kral nie zapomni, że wziął gotówkę, i nie wyłudzi nowej od uczciwego polskiego prawicowego parlamentarzysty.

Zadziwiające, że kiedy Kral zafundował Piesiewiczowi – prezesowi Polskiego Komitetu Olimpijskiego, koledze posła PiS Sasina – wypasiony zegarek, a posłowi Moskalowi full wypas na Ibizie, to obaj zgodnie tłumaczą, że nie były to łapówki. Bo wszystkie koszty zwrócili Kralowi, tylko bez pokwitowania.

Czemu nie zrobili tego przelewem? Czemu nie w kryptowalutach, które tak reklamowali?

Kiedy poparcie dla partii spada, w jej parlamentarzystach budzą się demony. Każdy chce być znów w parlamencie. Każdy wie, że największymi wrogami są konkurenci z tej samej listy wyborczej. Albo bliscy ideowo secesjoniści.

Nic dziwnego, że przezorni parlamentarzyści już zaczynają prewencyjnie kompromitować przyszłych konkurentów. Pluć na nich w mediach.

Zwykle małomówny poseł Marek Suski rozgadał się okrutnie. Winą za spadek notowań PiS w Radomskiem i okolicach obarczył oddelegowanego do Radomia obecnego eurodeputowanego PiS Mariusza Kamińskiego. Bo Kamiński wiedział o gangsterach buszujących w PiS, ale wiedzą się nie podzielił. Dlatego wara mu od wpływu na przyszłe listy wyborcze, przynajmniej w Radomskiem i okolicach.

Poseł Ryszard Terlecki, niedawny zaufany prezesa Kaczyńskiego, teraz morawiecki secesjonista, bez pardonu skrytykował złodziejstwa Ziobry. A także głupotę polityczną eurodeputowanego Tobiasza Bocheńskiego, lidera frakcji „maślarzy”, kreującego się na przyszłego lidera PiS.

Ponieważ znaną już głupotę Bocheńskiego skrytykował też Mateusz Morawiecki, to Bocheński od razu odwinął się w mediach. Opluł tam Kornela Morawieckiego, ojca Mateusza. Za to, że Kornel kiedyś pluł na Wałęsę i zawsze był „ruską onucą”.

Wielkiego medialnego fucka pokazał prezesowi i kolegom z PiS zawieszony członek tej partii, były poseł i eurodeputowany Ryszard Czarnecki. Też oskarżony o wyłudzanie pieniędzy, ale z Parlamentu Europejskiego. Teraz drwi z PiS, bo ma dostać jedynkę na listach Korony Brauna.

Ponieważ prezes Kaczyński musi dać w przyszłorocznych wyborach biorącą jedynkę swemu sekretarzowi Piotrowi Milowańskiemu i faworycie posłance Annie Krupce, to wszyscy konkurenci już ich nienawidzą. Wiedzą, że będzie o dwa mandaty mniej do podziału.

Zwariować można – żalą się parlamentarzyści PiS, kiedy komentują nową ofensywę polityczną PiS pod kryptonimem „Przebudzenie” i decyzję, że program wyborczy PiS zwać się ma „Ratunku dla Polski”.

Nic dziwnego, że poseł Matecki stale już zachowuje się, jakby szaleju się napił i kolekcjonuje wyroki za zniesławienia. Poseł Macierewicz biega podczas uroczystych miesięcznic smoleńskich z pistoletem na farbę. A poseł Chorosińska szczeka podczas debat w sejmowej sali plenarnej. Szczeka donośnie i wyraźnie, bo z zawodu jest aktorką i ma dobrą dykcję.

Że też z takimi posłami prezes Jarosław jeszcze nie zwariował – słyszałem niedawno głos współczucia. Święta prawda. Może jeszcze nie, a może tylko się maskuje...

PIOTR GADZINOWSKI

Ministerialny cytat to nie halucynacje AI czy zapis ścieżki dźwiękowej z deep fake’a. Można go znaleźć na 25. stronie stenogramu z posiedzenia Komisji Infrastruktury z 9 lipca 2025 r. PDF jest dostępny na stronach rządowych.

Kto przepis abortował? Trudno powiedzieć. Nie wiadomo, kto zgłosił tę zmianę ani kto ją wprowadził, nie zapisano tego w protokołach ustaleń Rady Ministrów ani pozostałych kwitach.

Szlabany i krzyże

Po spotkaniu „Koziołka” z betoniarką minister Klimczak pomysł odkurzył i dorzucił kilka nowych propozycji, m.in. karę pierdla za zachowania, które doprowadzą do katastrofy i utraty życia. Niech będzie. Niestety, system wyłapywania niepokornych też wymaga rewolucji.

Koleje dysponują niezłą bazą monitoringu na blisko 3 tys. przejazdów i wyłapują tysiące wykroczeń, ale z powodu braku uprawnień nie mogą same tłuc mandatów. Muszą przekazywać nagrania policji, co tworzy wąskie gardło i zmniejsza nieuchronność kary.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Klimczak zapowiedział automatyczne egzekwowanie kar na podstawie systemów monitoringu rejestrujących wjazd na czerwonym świetle. Brzmi legitnie, ale mandat bez udziału policjanta wystawia tylko Główny Inspektorat Transportu Drogowego na podstawie danych systemu CANARD. Czyli wyłącznie tam, gdzie zainstalowano urządzenia systemu RedLight.

Takich kolejowych fotoradarów jest w kraju 10 sztuk. W zderzeniu z ogólną liczbą ponad 12 tys. przejazdów w Polsce – nie robi to wrażenia. Nie wspominając o przejazdach kategorii D, na których w ogóle nie ma sygnalizacji świetlnej. Stoją tam jedynie znaki „Stop” i krzyże św. Andrzeja. Nowe przepisy będą w tych miejscach niewarte funta kłaków.

Co ciekawe, również od 2025 r. procedowany jest projekt zmian w przepisach, dotyczący uskutecznienia egzekwowania naruszeń rejestrowanych właśnie przez urządzenia CANARD – UD263. Prace idą dosyć mozolnie. Przewija się tam kara za nieuprawiony wjazd na przejazd, ale o utracie prawa jazdy nie ma ani słowa. Projekt przewiduje jedynie 6 tys. opłaty administracyjnej w związku z automatycznie zarejestrowanym przejazdem na czerwonym świetle na przejeździe kolejowym. Przy pomyślnych wiatrach kierowca mógłby uniknąć mandatu. Jeśli właściciel w ciągu 30 dni nie wskaże, kto prowadził auto, opłata administracyjna jest na niego nakładana z mocy prawa. Ponieważ jest to procedura administracyjna, do konta nie są dopisywane punkty karne. W przypadku szybkiej wpłaty kwota zostaje automatycznie obniżona do 4,8 tys. zł.

Planowany termin wejścia w życie tych rewolucyjnych przepisów to styczeń 2028 r. (ze względu na konieczność przebudowy systemów IT i bazy CEPiK).

Dobrze, że rząd w trybie pilnym skierował na Radę Ministrów odrębny projekt przepisów. Co by to było, gdyby tak ważne dla bezpieczeństwa obywateli sprawy nie miały priorytetu?

IDALIA DUBICKA

eprasa.pl 7eb08cd4f6

Chłop sp. z o.o.

Kapitalizm wlazł w buraki

Ludzie! Ja, mieszczuch, byłam na wakacjach na wsi.

Nie byłam na wsi od kilku lat. Tym razem jeździłam swoim starym Peugeotem po Podlasiu. Szczęka ze zdziwienia mi opadała za każdym zakrętem. Przyznam, że przed urlopem, myśląc „polska wieś", oczyma wyobraźni widziałam furmankę, gumofilce, proboszcza oraz ludzi blokujących szosę i narzekających na Brukselę. Jako zwolenniczka ekopolityki, wieś kojarzyłam także z pestycydami, PiS-em i kopcącym piecem.

Myliłam się. Na polską wieś dotarł kapitalizm w całej swej ohydzie i krasie. Nie przyjechał furmanką. Przyjechał ciągnikiem za milion, z GPS-em, leasingiem i aplikacją pokazującą notowania pszenicy. Duży rolnik coraz częściej nie jest żadnym chłopem. Jest prezesem fabryki biologicznej pod gołym niebem. Tyle że ta fabryka ma wyjątkowo złośliwy zarząd. Nazywa się pogoda. A rada nadzorcza – to rynek.

Najpierw rzecz zabawna. Sukces polskiego kapitalizmu rolnego został w ogromnej mierze sfinansowany z publicznej kasy. Od 1994 r. do sektora rolnego popłynęło ponad pół biliona złotych. Widzisz to? 500 000 000 000 zł. W tym setki miliardów unijnych dopłat.

Efekty tej inwestycji są faktycznie imponujące. Eksport żywności wzrósł z 5,2 mld euro w 2004 r. do 58,4 mld w 2025. Wieś się wzbogaciła. Są lepsze domy, maszyny, samochody, fotowoltaika. Najpiękniejsze jest tylko to, że wielbiciele niewidzialnej ręki rynku dokonali tego cudu przy pomocy bardzo widzialnych przelewów z nielubianej Brukseli.

Rolnictwo nie jest już głównym źródłem utrzymania większości mieszkańców wsi. A tam, gdzie ziemia rzeczywiście daje pieniądze, działa brutalna zasada kapitalizmu: rośnij albo zdychaj.

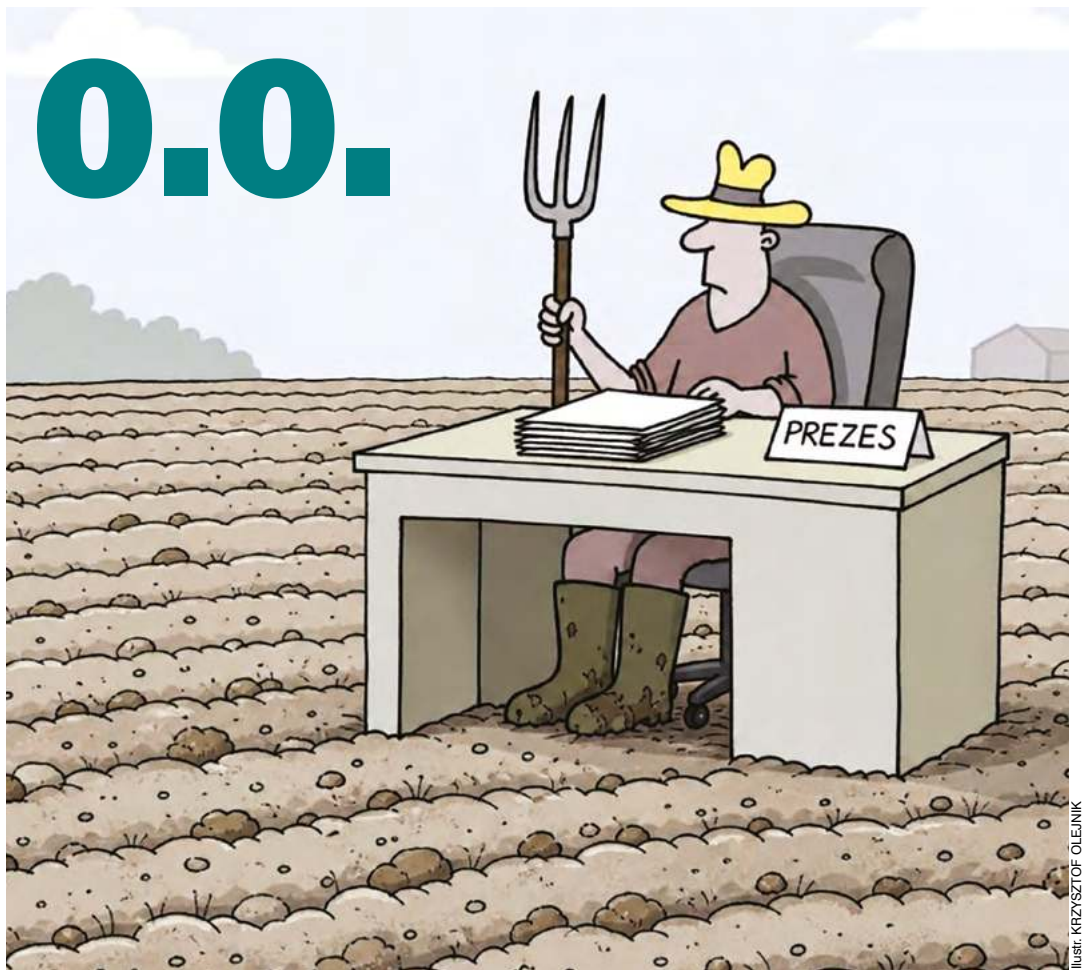
Ponad połowa gospodarstw ma mniej niż pięć hektarów, a obok nich działają przedsiębiorstwa rolne obrabiające setki hektarów i zarządzające majątkiem wartym miliony. Jeden rolnik zastanawia się, czy przeżyje kolejny rok. Drugi – jaka będzie stopa zwrotu z nowego kombajnu. Obaj jadą potem na protest i nazywają się rolnikami. Kapitalizm zrobił więc na wsi dokładnie to samo co w mieście: stworzył zwycięzców, przegranych i tłum ludzi przerażonych. A strach świetnie nawozi skrajną prawicę.

Kapitalizm zmienił również nasze jedzenie. Dlaczego pomidor z supermarketu potrafi smakować jak opakowanie po pomidorze? Dlaczego pierś kurczaka osiągnęła rozmiar damskiej torebki, ale rosół trzeba przekonywać „kostką", że jest rosołem? Bo kapitalizm nie produkuje najlepszego pomidora. Produkuje najbardziej opłacalnego. Ma być równy, twardy, wydajny, odporny na transport, długo leżeć i pięknie wyglądać pod lampą w markecie. Smak znajduje się na liście wymagań gdzieś pomiędzy szczęściem kurczaka w hodowli klatkowej a dobrym samopoczuciem zatrudnionego na wsi imigranta. To nie spisek rolników. Rolnik robi to, za co rynek płaci. A rzadko płaci dobrze. Sieć handlowa dusi przetwórcę, przetwórca ściska rolnika, bank ściska wszystkich, a konsument szuka promocji, bo sam jest ściskany czynszem i rachunkami. Potem wspólnie dziwimy się, że pomidor nie pachnie, a kurczak jest jak z drewna.

Tak samo wygląda konflikt o ekologię. Rolnik nie musi być idiotą, żeby wiedzieć, że klimat się zmienia. Suszę, przymrozek czy grad widzi wcześniej niż komentator telewizyjny, bo komentator po ulewie zamawia Ubera do restauracji, a rolnik liczy straty.

Problem brzmi inaczej: kto ma zapłacić? Przez 20 lat mówiono mu: inwestuj, zwiększaj produkcję, bierz kredyt, kup większą maszynę, konkuruj ceną. Potem państwo przychodzi i mówi: produkuj czyściej, ogranicz chemię, emisje i ponieś dodatkowe koszty. Rolnik nie słyszy wtedy: „ratujemy planetę". Słyszy: „spadnie ci marża". A prawica tylko podsuwa winnego: Brukselę, ekologów i Ursulę von der Leyen występującą w memach w charakterze stonki ziemniaczanej w żakiecie.

I tu historia robi się naprawdę piękna. Ten sam kapitalizm, który wzbogacił polską wieś, zaczyna ją teraz dusić. Każe kupować nawozy i energię od wielkich koncernów, sprzedawać żywność silniejszym przetwórcom i sieciom, konkurować z Ukrainą i światowym agroprzemysłem, zwiększać skalę, ciąć koszty i zadłużać się. A konsumentowi każe jeść nie to, co warto produkować, lecz to, co najbardziej opłaca się sprzedać.



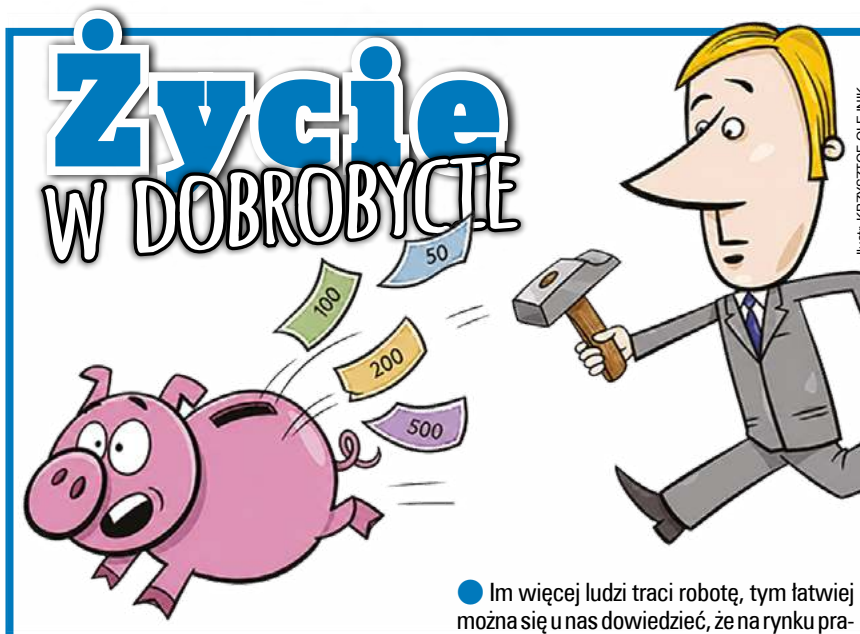
Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Potem rolnik i konsument kłócą się ze sobą o ekologię zamiast zauważyć, kto ustawił im reguły gry.

Kapitalizm nauczył polską wieś produkować jak fabryka. Teraz odkrywamy, że ziemia nie jest halą produkcyjną, klimat nie jest kosztem zewnętrznym, a człowiek nie może zjeść eksportowego sukcesu. Może natomiast zjeść pomidora. Jeżeli jeszcze będzie miał smak.

ANNA GRODZKA

Życie W DOBROBYCIE

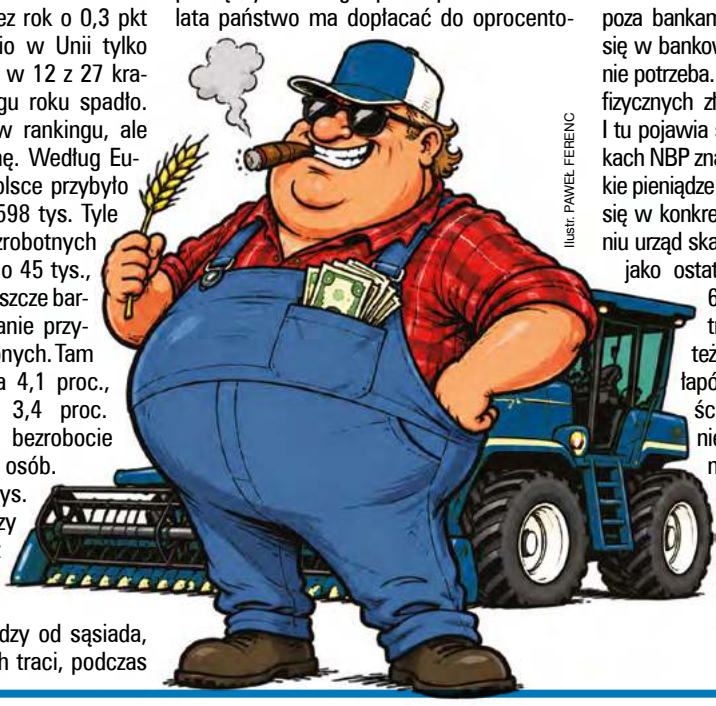


Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

● Wskaźnik Wyprzedzający Koniunktury to takie ekonomiczne ustrojstwo, które ma powiedzieć, co będzie z gospodarką, zanim to, co będzie, rzeczywiście się wydarzy. Tworzy go Biuro Inwestycji i Cykli Ekonomicznych (BIEC), a w sierpniu 2026 r. wyniósł on 176,5 pkt wobec 177 pkt miesiąc wcześniej. Spadł więc. Wskaźnik składa się z ośmiu części, z których w sierpniu zaledwie dwie pokazały wzrost, trzy się nie zmieniły, a trzy się pogorszyły. Przedsiębiorcy jakoś nie widzą klientów walących drzwiami i oknami. Firmy oceniają napływ nowych zamówień gorzej niż miesiąc wcześniej. 20. gospodarka świata szczególnie rozpędzona więc nie jest. Najlepiej napływ nowych zamówień oceniają producenci sprzętu elektronicznego oraz transportowego, największy spadek odczuwają zaś producenci mebli i odzieży. Nastroje zarządzających przedsiębiorstwami przetwórstwa przemysłowego dotyczące sytuacji finansowej wprawdzie się poprawiają, ale BIEC określa tę poprawę jako „bardzo umiarkowaną". Gdy jednak te nastroje zestawimy z gusowskimi wynikami finansowymi przedsiębiorstw – które za pierwsze półrocze 2026 r. wyglądają zdecydowanie lepiej – zrobi się dziwnie. Według BIEC może to częściowo tłumaczyć „rozbieżność wyników". Jak się zatem wrzuci do jednego statystycznego worka szybciej rozwijające się usługi i znacznie mniej żwawy przemysł, wychodzi obraz całkiem sympatyczny. Jak się zajrzy wyłącznie do fabryk, uśmiech robi się nieco mniej szeroki.

● Im więcej ludzi traci robotę, tym łatwiej można się u nas dowiedzieć, że na rynku pracy jest świetnie. Wszystko zależy bowiem od tego, którą liczbę się pokaże, z czym ją porówna i jak długo ekonomista będzie tłumaczył, że to, co wygląda na pogorszenie, wcale nim być nie musi. GUS podał więc, że stopa bezrobocia rejestrowanego w lipcu 2026 r. wyniosła 5,8 proc. Rok wcześniej było 5,4 proc. Liczba ludzi w pośredniakach wzrosła w ciągu miesiąca o 4,9 tys. i dobiła do 906,4 tys. osób, a w porównaniu z zeszłym rokiem bezrobotnych było aż o 9,1 proc. więcej. Na szczęście resort pracy wcześniej przewidywał 5,9 proc., więc można też ogłosić, że wynik 5,8 proc. jest lepszy od oczekiwań. Na koniec marca 2026 r. w gospodarce narodowej pracowało 15,07 mln osób. Tyle samo co rok wcześniej i o 0,3 proc. więcej niż miesiąc wcześniej. Ale w przemyśle liczba pracujących spadła o 1,4 proc. rok do roku. W handlu i naprawie samochodów spadek wyniósł 1,9 proc. Najmocniej liczba pracujących poleciała w rolnictwie, leśnictwie, łowiectwie i rybactwie, bo aż o 4,4 proc. Za to w administracji publicznej i obronie narodowej wzrosła o 2,3 proc., w edukacji o 2,2 proc., a w ochronie zdrowia i pomocy społecznej o 1,6 proc. Czyli suma pracujących się zgadza, tylko coraz mniej ludzi pracuje tam, gdzie się produkuje, handluje albo gospodaruje, a coraz więcej tam, gdzie płaci państwo. Jeszcze ciekawiej jest w firmach zatrudniających co najmniej 10 osób. W lipcu zatrudnienie było tam o 0,8 proc. niższe niż rok wcześniej. Rok do roku zatrudnienie w sektorze przedsiębiorstw spada już 34 miesiące z rzędu. W przemyśle zatrudnienie maleje nieprzerwanie od lutego 2023 r. W górnictwie spadek wyniósł aż 8,3 proc. rok do roku. Można to oczywiście nazwać restrukturyzacją, automatyzacją, poprawą efektywności albo zmianą modelu gospodarczego. Człowiek z wypowiedzeniem w kieszeni nazwałby to pewnie prościej.

● Największy urok mają jednak same statystyki bezrobocia. Ten sam kraj może mieć jednocześnie 5,8 proc., 3,2 proc. i 3,4 proc. bezrobocia i każda liczba jest prawdziwa. Według urzędów pracy bezrobotnych było 906,4 tys. Według europejskiej metodologii Eurostatu – 598 tys. Badanie Aktywności Ekonomicznej Ludności GUS w drugim kwartale pokazało stopę bezrobocia na poziomie 3,2 proc. wobec 2,8 proc. rok wcześniej. Co więcej, liczba bezrobotnych według BAEL zwiększyła się w ciągu roku aż o 14,1 proc. Ekonomiści tłumaczyli, że część nowych bezrobotnych pochodziła z grupy osób, które dopiero weszły na rynek i zaczęły szukać pracy. Eurostat pozwala nam za to poczuć się znacznie lepiej na tle zagranicy. W lipcu stopa bezrobocia w Polsce wyniosła 3,4 proc. i była drugim najlepszym wynikiem w Unii Europejskiej. Lepsze były tylko Czechy z wynikiem 3,3 proc. Problem polega na tym, że w Polsce stopa bezrobocia wzrosła przez rok o 0,3 pkt proc., podczas gdy średnio w Unii tylko o 0,1 pkt proc. Co więcej, w 12 z 27 krajów UE bezrobocie w ciągu roku spadło. Nadal jesteśmy wysoko w rankingu, ale poruszamy się w złą stronę. Według Eurostatu bezrobotnych w Polsce przybyło w ciągu roku 42 tys., do 598 tys. Tyle że w Hiszpanii liczba bezrobotnych spadła o 74 tys., w Grecji o 45 tys., a we Włoszech o 14 tys. Jeszcze bardziej niewygodne porównanie przychodzi ze Stanów Zjednoczonych. Tam stopa bezrobocia wyniosła 4,1 proc., czyli więcej niż polskie 3,4 proc. Tyle że w ciągu roku bezrobocie w USA spadło aż o 330 tys. osób. W Polsce wzrosło o 42 tys. Można więc mieć lepszy wynik i jednocześnie coraz gorszy trend. To trochę jak z człowiekiem, który nadal ma więcej pieniędzy od sąsiada, ale co miesiąc część z nich traci, podczas gdy sąsiad powoli się dorabia. Oczywiście Polska nie stoi przed katastrofą rynku pracy, ale bezrobotnych jest więcej niż rok temu. I ekonomiczne zaklinanie tego nie zmieni.


Ilustr. PAWEŁ FERENC

● Jak ktoś naprawia ludziom buty, to nazywa się szewcem. Można też być hydraulikiem, elektrykiem, mechanikiem, fotografem, fryzjerem, stolarzem, informatykiem albo piekarzem. Ludzie ci, jak prowadzą własną działalność i brakuje im pieniędzy, to idą do banku. Tam kasę kupują albo nie. Rolnik jest jednak przedsiębiorcą szczególnym, bo w czwartym kwartale 2026 r. będzie mógł pożyczyć do 200 tys. zł na okres do trzech lat, a przez pierwsze dwa lata kredyt ma go kosztować najwyżej 2 albo 3 proc. rocznie. Rolnik to określenie niezwykle pojemne. Może nim być właściciel niewielkiego gospodarstwa, ale może też być producent obrabiający setki hektarów ziemi. W opisanych zasadach programu nie ma rozróżnienia między jednym a drugim. Jest za to maksymalnie 200 tys. zł kredytu i państwowa gwarancja obejmująca do 80 proc. pozostającego do spłaty kapitału. Przy 200 tys. zł daje to początkowo do 160 tys. zł. Gwarancja nie oznacza rzecz jasna, że rolnikowi ktoś podaruje 160 tys. zł, ale oznacza, że bank dostanie zabezpieczenie lwiej części pożyczonych pieniędzy. Do tego przez pierwsze dwa lata państwo ma dopłacać do oprocentowania. Szewc chcący pożyczyć 200 tys. zł na rozwój zakładu może w tym czasie pokazać bankowi swoje maszyny, przychody oraz szeroki uśmiech. Pożyczone pieniądze rolnik będzie mógł przeznaczyć na bieżącą działalność, czyli m.in. nawozy, środki ochrony roślin i takie tam. Ale szewc również kupuje materiały, żeby naprawiać buty. Grafik potrzebuje komputera, oprogramowania i prądu, stolarz drewna, a fryzjer kosmetyków. To są koszty prowadzenia działalności. Tyle że kiedy ponosi je producent rolny, stają się problemem godnym państwowej gwarancji i dopłaty do odsetek.

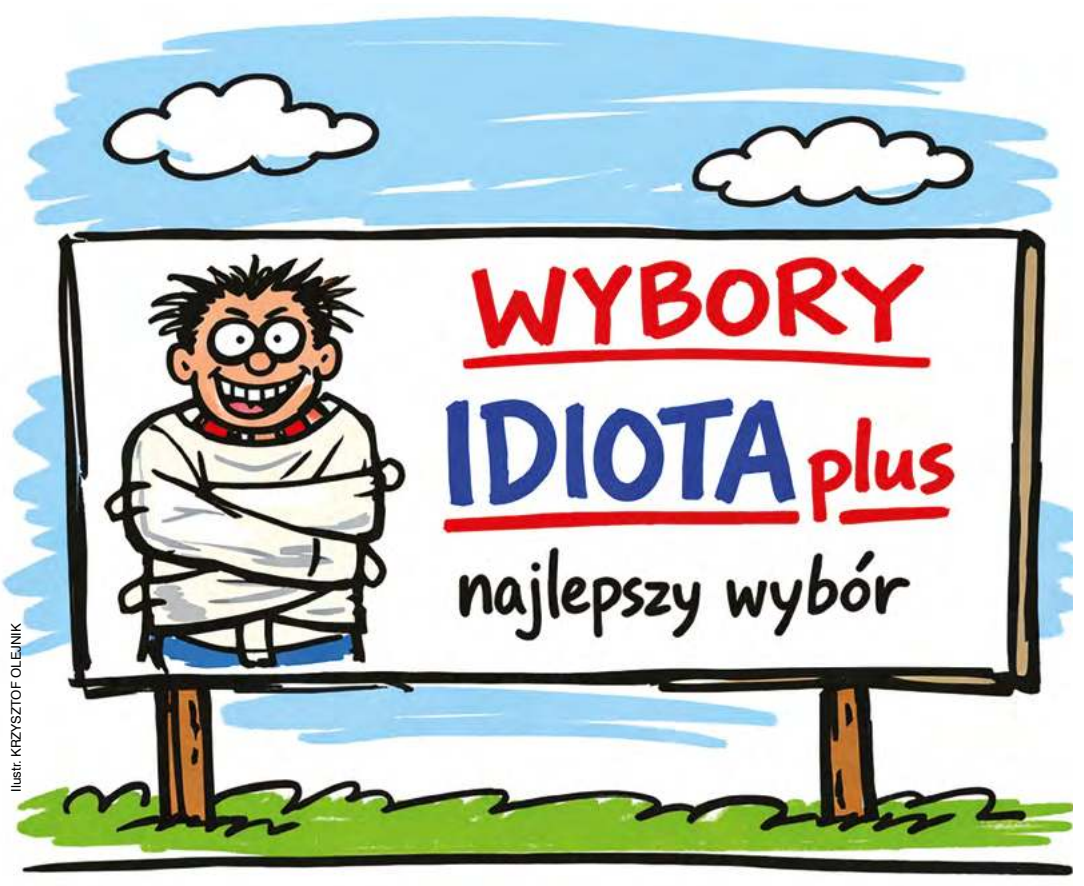
● Polacy płacą kartą, telefonem lub zegarkiem. Tymczasem NBP podał dane, z których wynika coś dokładnie odwrotnego. Gotówki przybywa w tempie niebywałym. Na koniec lipca w obiegu było tego już 488 mld zł. To rekord. Podaż pieniądza wzrosła w rok o 11,3 proc. Ale w ciągu roku gotówki przybyło o 14,7 proc. W złotówkach oznacza to wzrost aż o 62,6 mld zł. Tempo robi jeszcze większe wrażenie, gdy przypomni się początek wojny na Ukrainie. Po rosyjskim ataku Polacy rzucili się po banknoty, bo nikt nie wiedział, co będzie jutro. W lutym 2022 r. roczna dynamika wartości gotówki wynosiła 13,6 proc., a w marcu 16,7 proc. Teraz mamy 14,7 proc. I to bez wojny. Do symbolicznego pół biliona złotych w obiegu brakuje już tylko 12 mld zł. Jeśli jednak do pieniędzy krążących poza bankami dorzucić gotówkę znajdującą się w bankowych kasach, żadnego czekania nie potrzeba. Jest już 502,2 mld zł. Pół biliona fizycznych złotych zostało więc osiągnięte. I tu pojawia się pytanie, którego w statystykach NBP znaleźć się nie da. Gdzie te wszystkie pieniądze są? Bo banknot zawsze znajduje się w konkretnym miejscu, o którego istnieniu urząd skarbowy dowiaduje się zazwyczaj jako ostatni. Dane NBP nie mówią, że 62,6 mld zł dodatkowej gotówki trafiło do szarej strefy. Nie mówią też, że pieniądze przeznaczono na łapówki. Lecz gotówka ma tę właściwość, której BLIK nigdy mieć nie będzie. Nie zostawia elektronicznego śladu. A banknot może służyć babci robiącej zakupy na bazarku równie dobrze jak człowiekowi, który nie ma najmniejszej ochoty opowiadać fiskusowi, skąd go ma.

TTJ

eprasa.pl 7eb08cd4f6

Dwie dekady „Idiokracji”

Rządy głupców



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

W 1509 r. Erazm z Rotterdamu napisał „Pochwałę głupoty”, w której wybornie i przewrotnie przekonywał, że głupota daje radość i szczęście, zaś mądrość wiedzie do cierpienia, a nawet przedwczesnej śmierci. Niecałe 500 lat później – w 2005 r. – reżyser Mike Judge stworzył satyryczną dystopię „Idiokracja”, w której pokazał postępującą falę ogłupienia społeczeństwa i jej poważne konsekwencje.

Najpierw ten film był klapą finansową, na równi zjechaną po całości przez widzów, jak i krytyków. Bo to obraz na wskroś głupi, prymitywny, bez gwiazd ekranu, wyśmiewający się z odbiorców. Z czasem jednak zyskał status dzieła kultowego, gdyż – jak stwierdził Terry Crews przed paroma laty, już po dojściu Trumpa do władzy – film „Idiokracja” okazał się „tak proroczy pod wieloma względami, że faktycznie przeraża ludzi”.

W Urban Dictionary można przeczytać o „Idiokracji”, że to „film, który pierwotnie był komedią, ale stał się dokumentem”. Zanim przejdę do tego, co dokumentuje, zajmę się pokrótce samą produkcją.

Durnowaty świat

„Idiokracja” opowiada o niejakim Joe Bauersie (Luke Wilson) służącym w wojsku jako bibliotekarz. Zostaje on przez armię amerykańską wybrany do udziału w eksperymencie dotyczącym hibernacji kriogenicznej. To człowiek pod każdym względem przeciętny – cechuje go przeciętna osobowość, przeciętny iloraz inteligencji, a nawet przeciętne ciśnienie krwi. Drugą uczestniczką eksperymentu jest seksworkerka Rita (Maya Rudolph) – wybrano ją, bo jakoby w wojsku amerykańskim nie ma przeciętnych kobiet. Oboje mieli się obudzić rok później, lecz coś poszło nie tak i obudzili się w roku 2505.

Świat za 500 lat składa się głównie ze śmieci, których ogromne sterty walają się wszędzie. Śmieciowy jest też sposób wyrażania się ludzi, pełen pomruków, jęków, wyzwisk i slangowych powiedzonek, co mi dziwnie przypomina słuchanie studentów na przerwach między zajęciami… Joe wciąż słyszy, że wyraża się po pedalsku.

Podróż Bauersa przywodzi na myśl wizję Dantego. Pierwszym kręgiem kapitalistycznego piekła jest ciągnący się kilometrami megamarket Costco; u jego bram stoi typ, który machinalnie powtarza: „Witaj w Costco, kocham cię”. Pomyślałam wtedy o tych wszystkich telemarketerach, mówiących do mnie per „pani Katarzyno” i udających moich przyjaciół, aby wcisnąć mi kolejne gówno.

Na ekranie widzimy ogromny billboard z hasłem: „Jeśli nie palisz Tarrlytons… Pierdol się!”. Najpopularniejszym programem w telewizji jest show „O, moje jaja”, w którym klejnoty rodowe głównego bohatera są masakrowane na tysiąc sposobów. Hitem kin jest film, który pokazuje nieustannie zbliżenie dupy; jak się dowiadujemy, zdobył dziewięć Oscarów, w tym za najlepszy scenariusz.

Zabawne, acz kontrowersyjne, jest darwinowskie wyjaśnienie zidiocenia społeczeństwa ukazane na początku „Idiokracji”. Winne temu jest marne rozmnażanie się osób inteligentnych.

Widzimy Trevora (IQ na poziomie 138 punktów) i Carol (IQ 141) mówiących, że trudno się zdecydować na dziecko, trzeba czekać na odpowiedni moment. W tym samym czasie bezimienna baba w niebieskiej sukience, patrzy na test ciążowy i mówi: „Cholera, znowu jestem w ciąży!”. Clevon (IQ 84) odpowiada: „Za dużo mamy tych cholernych dzieciaków. Myślałem, że wzięłaś jakąś pigułkę”. Baba na to: „Właśnie nie”. Clevon: „Cholera, pewnie pomyliło mi się z Britanny”.

Tych samych bohaterów widzimy 5, 10 i 15 lat później. W ostatniej scence zawodnik futbolu amerykańskiego Clevon junior (IQ 78) wrzeszczy w objęciach dziewczyn: „Przelecę was wszystkie!”. Kibicujący mu ojciec z dumą podkreśla: „Ten chłopak ma to po mnie”. Carol zaś smutno wyjaśnia: „Niestety, Trevor zmarł na zawał, próbując podczas masturbacji pozyskać spermę do sztucznego zapłodnienia. Skoro mam zamrożone komórki jajowe, czekam tylko, aż pojawi się odpowiedni facet”.

Jak widać, Judge nie oszczędza nikogo.

Parada idiotów

Oczywiście, istnieją proste i banalne sposoby odczytywania „Idiokracji”. Prezydent Camacho, były gwiazdor porno, dziwnie – zważywszy, że film ma ponad 20 lat – przypomina Trumpa: gwiazdę reality TV, celebrytę, człowieka, który zasłynął jako promotor cyrku zwanego wrestlingiem, a ostatnio w Białym Domu urządził galę mieszanych sztuk walki.

Nie śmieszy mnie Camacho, mówiący Izbie Reprezentantów, że Joe – obecnie najinteligentniejszy człowiek na Ziemi – wszelkie problemy kraju rozwiąże w ciągu tygodnia. A to dlatego, że Trump nie był tak skromny: w ostatniej kampanii co najmniej 53 razy obiecał, że jak tylko zostanie prezydentem, wojnę na Ukrainie zakończy w ciągu 24 godzin. Czasem w przypływie realizmu podbijał do 48.

Unikałabym jednak nazbyt redukcjonistycznego podejścia do „Idiokracji”. Świat wokół nas jest coraz bardziej zidiociały, a głupota sączy się z telewizji, portali internetowych i mediów społecznościowych w trybie 24 godzin na dobę i to przez siedem dni w tygodniu. Seks i przemoc stały się tak wszechobecne, że kiedy sprawdzono, co oglądają polskie dzieci w wieku 7–13 lat na mobilnych urządzeniach, na drugim miejscu – przed e-dziennikami! – był Pornhub…

Prezydentem Rzeczypospolitej, cieszącym się coraz większym poparciem, jest oskarżany o sutenerstwo kumpel nazioli i weteran ustawek. Ale facet jest dość młody, to zawodnik wagi ciężkiej, wyciska 150 kilogramów na klatę, z dumą podkreśla, że jak trzeba – umie dać w ryja. No i to jedyny prezydent, który – jak pokazał w kampanii – umie zarzucić pralkę na ramię i zanieść oczekującym wsparcia powodzianom.

Gwoli ścisłości, jego kontrkandytat Rafał Trzaskowski udawał kogoś, kim nie jest, małpował głównego konkurenta, będąc przy tym równie błyskotliwym, co prawdziwym.

Żaden polityk w Polsce nie ma absolutnie nic do powiedzenia – i to od lat. Spin doktorzy tworzą przekazy dnia papugowane przez całe obozy polityczne, które przypominają kluby piłkarskie. Ich wyborcy zachowują się jak wierni swym barwom klubowym kibole

reagujący na sygnały zewnętrzne w sposób przypominający psy Pawłowa, szczuci na drużyny przeciwne i warczący na wszystkich, którzy odmawiają udziału w tej grze znaczonymi kartami.

W „Idiokracji” króluje Brawndo – jadowicie zielony napój energetyczny. Jego producent w 2330 r. kupił Federalną Komisję ds. Leków i Federalną Komisję ds. Łączności, więc w oficjalnej piramidzie żywieniowej jest tylko Brawndo – woda nie przynosi wszak zysków korporacji. Brawndo karmi się niemowlęta, a nawet podlewa uprawy roślin. Każdy wie, że napój „zawiera elektrolity”, choć oczywiście nikt nie ma pojęcia, co to takiego.

Aż się prosi o przytoczenie wszechobecnych dzisiaj reklam żywności i kosmetyków reklamowanych jako „zawierające mikroelementy” czy „najlepiej wchłanialny magnez, a także „rewolucyjną formułę z ceramidami i koenzymem Q10”… No i każdy mężczyzna w tym kraju wie, że gdy konar nie płonie, sięgasz po odpowiednią rozpałkę.

Prawo do bycia głupim

Bardzo daleka jestem od takiego arystokratycznego podejścia: że oto ja i moi znajomi – wśród których doktorów i profesorów nauk jest jak psów w przepełnionym schronisku – jesteśmy mądrzy, a reszta, ci gorzej wykształceni, to hołota. Zwłaszcza że luki w edukacji bardzo często wynikają z biedy.

Jakiś czas temu, gdy byłam recenzentką na obronie doktoratu na Pomorzu, spędziłam wieczór w towarzystwie wysublimowanej doktor filozofii, która ugościła mnie rozrywką w postaci gali freak fightów. Nie ma większego znaczenia, że – co pewnie nikogo nie zaskoczy – jarałyśmy zioło, a gala była ściągnięta z serwisu pirackiego. Ma znaczenie, że koleżanka wykazała się niezwykłym znawstwem, pokazując mi filmiki z co bardziej słynnymi patocelebrytami, którzy nieudolnie okładali się pięściami po pustych łbach, zabijając w ten sposób resztkę szarych komórek, o ile jakieś im jeszcze zostały.

Kilka dni później recenzowałam wydawniczo książkę politologiczną o dość nierównym poziomie. Zdecydowanie najgorszy tekst został napisany przez pełniącego kierowniczą funkcję pana profesora z UW, który przedstawił gówno, jakiego w życiu bym nie przepuściła w charakterze pracy semestralnej na pierwszym roku.

Głupota jest urodzoną demokratką; znajdziemy ją – jeśli dobrze poszukamy – praktycznie wszędzie. Nie ma znaczenia płeć, orientacja seksualna, klasa społeczna i wykształcenie.

Tu nasuwają mi się słowa Korwin-Mikkego, który o swych kolegach i koleżankach ze sceny politycznej powiedział: „większość to idioci, ale na czele stoją cwani oszuści”. Bo smutna prawda jest taka: niekiedy to gówno, które sączy nam się do głów, jest produktem wysoko rozwiniętych technologii obsługiwanych przez niezwykle inteligentnych ludzi.

Punkowy Dezerter parenaście lat temu nagrał piosenkę „Prawo do bycia idiotą”. Każdy ma prawo do bycia sobą – w tym prawo do bycia idiotą. Przy czym – sięgnijmy do starożytnych Greków – idiotą w klasycznym sensie nie jest patentowany głupiec. To osoba, która jest zamknięta w sferze spraw prywatnych, domowych, niezainteresowana kwestiami o zasięgu społecznym.

I o to chodzi politykom, którzy od dawna stali się wyłącznie kukiełkami korporacji. Żryj, chlaj, oglądaj głupoty. A my w tym czasie już urządzimy twój świat…

KATARZYNA KOENIG

Przeruchana „Lalka”

Prus przewraca się na półce

Pisarze do piór! – ponaglili autorów chciwi wydawcy, i tak oto dostaliśmy też samodzielne utwory nawiązujące do uniwersum „Lalki”.

Żeby skutecznie zamordować książkę, należy ją dodać do listy lektur. Żeby ją dobić, potrzebne są jeszcze dwie ekranizacje. Na naszych oczach „Lalka” Prusa staje się produktem niestrawnym nawet dla zagorzałych wielbicieli (a tych jest niemało). Tej jesieni zobaczymy „Lalkę” kinową i Netflixową. Oraz przeczytamy w chuj innych.

Najbardziej oczywiste jest, że na rynku pojawił się pierdyliard nowych wydań „Lalki”. Z fotosami z filmu, ze wstępem celebryty, taka, sraka i owaka. Każda najlepsza, przełomowa i niezbędna w biblioteczce. Wydawcom nie ma się co dziwić – pieniądze leżą na ulicy. Ponieważ prawa do utworu wygasły, każdy może sobie dowolnie wydawać tę lekturę. Drzewiej bywało tak, że gdy wydawca chciał wydać klasyka, to musiał kopsnąć parę groszy na żyjących twórców. Ale te czasy się skończyły, bo rynkowi potentaci wylobbowali sobie prawo, które zwalnia ich z obowiązku jałmużny.

Oprócz najprostszego wykorzystania popularności „Lalki” są też kreatywniejsze.

Okazji nie mógł przepuścić stachanowiec polskiej literatury popularnej Remigiusz Mróz. Jako Jakub Jarno (tajemnicą poliszynela jest, że to pseudonim tego rekordzisty w pisaniu) napisał „Marionetkę”. „Sto lat po wydarzeniach z »Lalki« nić łącząca Wokulskiego i Łęcką ponownie zawiązuje się w pokoleniu ich potomków (...) W peerelowskiej erze betonu i podsłuchów tych dwoje próbuje odnaleźć prawdę nie tylko o sobie, ale też o swoich przodkach” – reklamuje powieść wydawca. Wizję PRL przedstawioną w książce można sobie wyobrazić już na podstawie zapowiedzi. A że pod pseudonimem? A „Bolesław Prus” to co to niby jest?

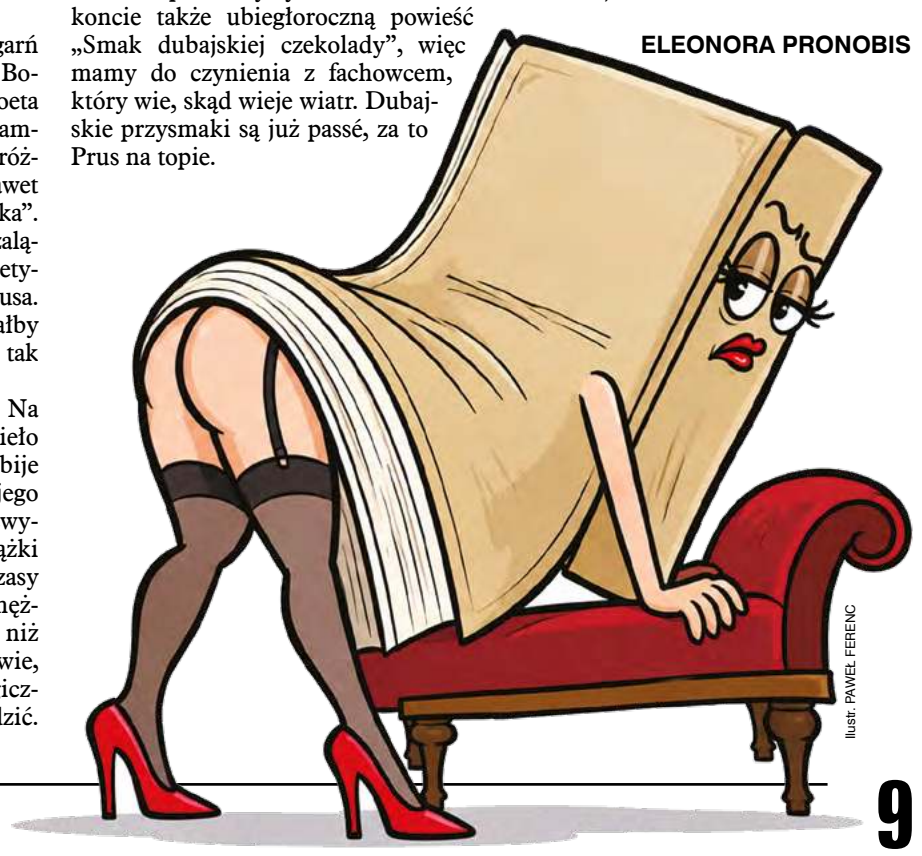
Na fali lalkomanii do księgarń wpłynęła także powieść „Wokulski” Bogumiła Wójcika, którą zachwala poeta i literaturoznawca dr hab. Karol Samsel: „Narodziny Wokulskiego podróżnika, obieżyświata, nomady, a nawet transkontynentalnego Europejczyka”. W tym przypadku widzimy jakiś zalążek ambicji, a nie tylko chęć zmonetyzowania popularności powieści Prusa. Bo czyż masowy czytelnik zaufałby rekomendacji poety używającego tak trudnych słów?

Im dalej w las, tym dziwniej. Na półkach stoi też dwutomowe dzieło „Po drugiej stronie czasu”, które bije po oczach hasłem z okładki „Być jego lalką”. Tutaj idziemy już w stronę zwykłego romansidła. Bohaterka książki Zosia cudownie przenosi się w czasy „Lalki” i poznaje Wokulskiego – „mężczyznę, z którym łączy ją więcej, niż jej się początkowo wydaje. Zosia wie, że jego historia skończy się tragicznie, i nie potrafi się z tym pogodzić. Postanawia zrobić wszystko, by ocalić Wokulskiego przed jego przeznaczeniem... Nawet kosztem własnego serca”… I naszego IQ.

W podobnym kierunku idzie Krystyna Mirek, autorka książki „Lalka ze Złotego Wzgórza”. Już w tytule można dostrzec nawiązanie do aż dwóch kultowych lektur jednocześnie. Nie dziwota: pani Krystyna ma na swoim koncie także ubiegłoroczną powieść „Smak dubajskiej czekolady”, więc mamy do czynienia z fachowcem, który wie, skąd wieje wiatr. Dubajskie przysmaki są już passé, za to Prus na topie.

Do kompletu brakuje tylko jednego. W internecie obowiązuje „zasada 34” (ang. *rule 34*), która mówi, że jeśli coś istnieje, to istnieje również pornograficzna wersja tego czegoś. Następująca po niej zasada 35 stanowi z kolei, że jeśli w tej chwili nie ma z tym porno, to wkrótce zostanie stworzone. Tak że ten... Wkrótce okaże się, że powstały jednak trzy ekranizacje „Lalki” a nie dwie.

ELEONORA PRONOBIS



Ilustr. PAWEŁ FERENC

eprasa.pl 7eb08cd4f6

Sosnowiec i Gomora

Kuria kurii łba nie urwie

Pojawiło się w Polsce zwierzę rzadko widywane: ksiądz skazany za pedofilię. Wyrok tym razem nie zawiera nakazu wyprowadzki na inną parafię, ale jest solidny, więzienny, choć jeszcze nieprawomocny. Duchowny z której diecezji? Z sosnowieckiej oczywiście.

Znalazła się cela

14 lat – tyle ma spędzić za kratkami ksiądz Jacek K. Może się wydawać za mało, ale wziąwszy pod uwagę, że ma on 64 lata, to taki wyrok oznacza niemalże dożywocie. „Wśród czynów przypisanych duchownemu znalazło się dziewięć występków na szkodę siedmiu ustalonych, naówczas małoletnich osób. Dziesiąty czyn dotyczył posiadania niedozwolonych materiałów o tematyce pedofilskiej” – czytamy w komunikacie prokuratury. Więzienie to niejedyna niedogodność, na którą sąd skazał kapłana. „Z uwagi na krzywdę wyrządzoną osobom ustalonym jako poszkodowane działaniami Jacka K., oskarżonego zobowiązano ponadto do zapłaty zadośćuczynienia, w sumie wynoszącego niemal 400 tysięcy złotych. Dzięki dokonanemu jeszcze na etapie śledztwa zabezpieczeniu licznych aktywów oskarżonego, o łącznej wartości szacunkowej bliskiej pół miliona złotych, zaspokojenie roszczeń finansowych pokrzywdzonych będzie znacznie ułatwione” – informuje nie bez uciechy prokuratura. Na biednego nie trafiło, a jemu się te pieniądze już raczej nie przydadzą.

Niepocieszonych niskim wyrokiem upomina prokurator Bartosz Kilian z Prokuratury Okręgowej w Sosnowcu. „Myślę, że i tak mamy do czynienia z jedną z najsurowszych sankcji, jakie zostały orzeczone wobec osoby duchownej, oskarżanej o przestępstwa seksualne. Trudno mówić o satysfakcji w obliczu tak wielkiego cierpienia i tak wielu lat skrywanego bólu ofiar, natomiast jest na pewno poczucie, że dzisiaj sprawiedliwość została wymierzona” – komentował dla PAP. Prokuratura także żądała więcej krwi i w tej chwili zastanawia się nad apelacją – a jednocześnie każe się cieszyć tym, co jest.

Sprawa Jacka K. jest jednym z elementów szerszego śledztwa ws. pedofilii w diecezji sosnowieckiej. Zarzuty usłyszeli też dwaj inni duchowni: Dariusz L. i Ryszard G. Procesy obu wciąż są w toku. Śledztwo objęło również byłego już księdza, który został skazany na zawiasy i grzywnę.

Biały PR czarnych

Po ogłoszeniu wyroku na Jacka K. w te pędy ruszyli przepraszać urzędnicy sosnowieckiej kurii. Zrobili to w stylu dość nowym dla polskiego Kościoła kat. – bez owijania w bawełnę i rozmywania odpowiedzialności. „Przepraszamy Osoby Skrzywdzone i ich bliskich za zło, którego doznały ze strony księdza naszej diecezji. Chcemy jednoznacznie podkreślić, że stajemy po stronie Osób, które zostały skrzywdzone, po stronie prawdy, która uznaje krzywdę taką, jaka była, bez jej relatywizowania. Wiemy, że przeprosiny nie zastąpią sprawiedliwego rozliczenia czy zadośćuczynienia, to wszystko pozostaje naszym zobowiązaniem wobec Osób Skrzywdzonych” – czytamy w naszpikowanym wielkimi literami komunikacie. Kurialiści wzywają też wszystkich „Skrzywdzonych” do kontaktu z kurią, dołączając stosowne nazwiska i dane adresowe. Nic o ataku na Kościół, żadnego podważania wiarygodności ofiar ani podkreślania zasług księdza.

Ten styl wymógł na swoich podwładnych bepe Artur Ważny – aktualnie kreowany na bezwzględną wobec przestępców twarz episkopatu. Ważny – następca zupełnie odmiennie kojarzącego się Grzegorza Kaszaka – pozuje na szeryfa tego kurwidołka, który nie boi się narazić kolegom biskupom i księżom.

Za Kaszaka skandal gonił skandal: orgie na plebaniach, pedofile, mordercy – do wyboru, do koloru. Artur Ważny ma zwiastować nową jakość. Gdy objął diecezję sosnowiecką, postawił na całkiem niebiskupie prowadzenie się: nie mieszka w pałacu, sam sobie gotuje, a wreszcie, co najbardziej skandaliczne, nie ignoruje zarzutów wobec księży. Każdemu się przygląda i nie zamiata pod dywan.

Ważny komunikat

W sferze deklaracji nieźle mu idzie, ma dobrą prasę, bo i z każdym porozmawia: był w TOK FM, udzielił wywiadu „Gazecie Wyborczej”, co w niektórych kręgach nadal oznacza zdradę.

„Nie lubię napompowanych określeń, nie znoszę, kiedy ktoś się do mnie zwraca per ekscelencjo” – ogłosił u Michnika. Niemalże w każdym wystąpieniu stara się pokazać, jak bardzo Kościół jest inkluzywny, a jego obraz psują jednostki. „Zwracam się do was, którzy zostaliście głęboko zranieni przez ludzi Kościoła – przez obojętność duszpasterzy, surowy klerykalizm, brak empatii, hipokryzję czy tragiczne zgorszenia i przestępstwa, przez które straciliście zaufanie i z płaczem odeszliście w poczuciu krzywdy. Posłuchajcie: Wy nie jesteście poza Kościołem! Wy jesteście w samym sercu troski i tęsknoty Boga!” – przemawiał 25 sierpnia na Jasnej Górze. Częstochowskie sanktuarium postrzegane jest się od pewnego czasu jako ambona dla prawicowych kaznodziejów, którzy za dogmat przyjmują bezgrzeszność Kościoła. Na tym tle biskup sosnowiecki wypada niczym jaskółka czyniąca wiosnę.

Biskup Ważny wyraźnie rozkochał się w roli ostatniego (czy też raczej pierwszego) sprawiedliwego, bowiem bryluje, gdzie tylko się da. Powołał komisję „Wyjaśnienie i naprawa”, która przygotowała raport wyliczający grzechy duchownych diecezji sosnowieckiej. Komisji i raportów ma być więcej, a każda taka publikacja to konferencja prasowa i wywiady. Artur Ważny jest też orędownikiem powstania ogólnopolskiej komisji w ramach Konferencji Episkopatu Polski.

Głęboko zatroskał się, gdy Ministerstwo Sprawiedliwości wydało opinię, iż statut komisji jest niezgodny z prawem, bowiem nadaje jej członkom prawo do przesłuchiwania ofiar i świadków. „Powinniśmy traktować te prawne ramy nie jako atak na Kościół, ale jako szansę na stworzenie jeszcze lepszego, bezpieczniejszego narzędzia do rozliczenia naszej bolesnej przeszłości” – skomentował z właściwymi sobie spokojem i pokorą.

„Każdy dzień zwłoki to kolejny test naszej, poważnie już nadwątlonej (niektórzy już mówią o »zerowej«), wiarygodności. Dlatego mam nadzieję, że zrewidowany statut powstanie bez zbędnego ociągania, stając się jednak dowodem na to, że potrafimy wyciągać wnioski i uczyć się na własnych błędach” – mówił w wywiadzie dla portalu misyjne.pl.

Braci się nie traci

Biskup Artur Ważny potrafi jednak, gdy trzeba, zachować powściągliwość i dyskrecję w ferowaniu wyroków. Dyplomatycznie milczy np. w sprawie swojego dawnego szefa bepe Andrzeja Jeża, biskupa tarnowskiego, który ostatnimi czasy spowiada się przed sądem, wzbudzając ogólnopolskie zainteresowanie.

Jeż usłyszał zarzuty niezawiadomienia niezwłocznie organów ścigania o czynach pedofilskich podległych mu księży (m.in. Stanisława P. i Tomasza K.) pomimo posiadania wiarygodnych informacji. Prokuratura wyznacza czas trwania tych zaniedbań na okres przypadający od 13 lipca 2017 do 16 sierpnia 2020 r. Ks. Artur Ważny był wówczas znaczącą postacią diecezji tarnowskiej, m.in członkiem rady kapłańskiej, czyli organu doradczego biskupa.

20 grudnia 2020 r. papież Franciszek mianował go biskupem pomocniczym tarnowskim, a 30 stycznia 2021 r. na tegoż biskupa wyświęcił go nie kto inny jak bepe Andrzej Jeż. Jak wiadomo, biskupem pomocniczym zostają zaufani ludzie biskupa diecezjalnego.

„W posłudze biskupiej tym bardziej potrzebne będzie myślenie zawsze z miłosierdziem; myślenie przebaczające; myślenie jak ojciec i pasterz, który dzień po dniu – na wzór Chrystusa Dobrego Pasterza – oddaje swoje życie, aby bronić i ratować owce i by doprowadzić je do zbawienia” – mówił wówczas w homilii dzisiejszy oskarżony Jeż. Artur Ważny aluzju poniał i miłosiernie spuścił zasłonę milczenia na występki swojego byłego szefa i promotora kariery. Co było w Tarnowie, zostaje w Tarnowie.

MK



Rys. BOSTON

Teologia rozporka

Seksualne wynurzenia ludzi, którym seksu zabroniono, nie przestają zadziwiać

Kościół katolicki postanowił porozmawiać o seksie i dlatego w październiku w Sosnowcu odbędzie się Kongres Nowej Ewangelizacji pod hasłem „Ciało do kochania. Dobra nowina o ciele”. Obrady nad ciałem odbędą się w sali koncertowej Zespołu Szkół Muzycznych.

Organizatorzy widać wiedzą, że mają problem. I nawet potrafią go nazwać. „Żyjemy w czasach, w których nauka moralna Kościoła, jego wizja ludzkiej seksualności oraz wierności małżeńskiej poddawane są głębokiej krytyce” – napisali. Skoro więc ludzie coraz mniej chcą słuchać Kościoła w sprawach seksu, a dodatkowo część jego funkcjonariuszy wykorzystywała seksualnie ludzi, to nie należy zastanowić się, czy problem nie leży w Kościele, ale więcej ewangelizować, ponieważ Kościół ma „fascynującą i piękną Dobrą Nowinę dotyczącą naszego ciała”.

Dobra nowina o podbrzuszu

Bo Kościół katolicki nie ma obsesji na punkcie seksu. Broń Boże. On jedynie przez 2 tys. lat ustalał, kto może z kim, kiedy i z jakim zamiarem. Teraz, żeby nikt nie pomyślał, że jest w tej dziedzinie przesadnie zainteresowany, uruchamia studia podyplomowe z teologii ciała. Dwa semestry. 270 godzin. Tysiąc złotych za semestr. Maksymalnie 40 słuchaczy. Człowiek, który przez całe życie po prostu miał ciało, po wpłaceniu dwóch tysięcy może w Opolu dowiedzieć się, że wcale go nie ma, gdyż – jak reklamuje uniwersytet – „jesteśmy ciałem”. Do tego pozna „integralną wizję osoby ludzkiej”, jej „cielesność, płciowość i relacyjność”, „moduł fundamentów antropologiczno-doktrynalnych” oraz „moduł aplikacyjno-kulturowy”.

Katolicka nauka o seksie próbuje mówić „normalnym językiem”. Seks nie jest seksem – to „akt małżeński”. Przyjemność nie jest przyjemnością, tylko realizacją jednoczącego wymiaru sakramentu. Kochanie się bez zamiaru zapłodnienia przy użyciu gumki jest nieotwartością, lecz kochanie się dokładnie z takim samym zamiarem w dzień, gdy wiadomo, że kobieta nie jest płodna, jest otwartością. Narządy płciowe nie służą po prostu do tego, do czego ludzie od tysięcy lat ich używają, tylko realizują „oblubieńczy sens ciała”. Jeśli ktoś już się w tym zgubił, może kupić od Instytutu Papieża Jana Pawła II 44-stronicowy zeszycik za pięć złotych. Taniej niż prezerwatywa.

Dziesięcioro przeciwwskazań

Katolicki dekalog łóżkowy da się bowiem ułożyć bez większego trudu.

Pierwsze – nie będziesz bzykał przed ślubem. Bo bez sakramentu dwoje dorosłych może się kochać, opiekować sobą w chorobie, kupić mieszkanie, ale kiedy zdejmą majtki, pojawia się problem metafizyczny.

Drugie – nie będziesz bzykał po rozwodzie z nową osobą. Jeśli sakramentalne małżeństwo się rozpadło, a człowiek stworzył po latach drugi trwały związek, wychowuje w nim dzieci, pielęgnuje chorego partnera i żyje z nim uczciwiej niż wcześniej, dla tradycyjnej dyscypliny sakramentalnej szczególnie ważne pozostaje to, czy dochodzi tam do stosunków.

Trzecie – gumki mieć nie będziesz. Ani tabletki, ani spirali stosowanej antykoncepcyjnie, ani innego wynalazku, którego przeznaczeniem jest niezajście w ciążę. Paweł VI zaordynował, że każdy akt małżeński ma zachować „wewnętrzne przeznaczenie” do przekazywania życia. W praktyce oznacza to, że penis może wejść do pochwy, byle bez technologicznego zabezpieczenia przed poczęciem.

Czwarte – kalendarzyk czcić będziesz. Bo jeśli małżonkowie nie chcą dziecka i dlatego wybiorą dzień, w którym prawdopodobieństwo zapłodnienia jest małe, zachowują porządek moralny. Jeśli nie chcą dziecka dokładnie tak samo, ale zamiast termometru wybiorą prezerwatywę, łamią porządek moralny.

Piąte – wytrysk swój prawidłowo ulokujesz. Na portalu Mateusz.pl ktoś zapytał, czy można uprawiać seks oralny. Odpowiedziano, że

akt ma być „pełny” i powinien kończyć się złożeniem nasienia w pochwie. Teologia zaczyna się od tajemnicy stworzenia, przechodzi przez godność osoby, Trójcę Świętą, transcendencję, samostanowienie i oblubieńczy sens ciała, a kończy na spermie w cipie.

Szóste – orgazmować możesz. Katolickie portale coraz chętniej zapewniają, że Bóg nie stworzył orgazmu przez nieuwagę. Seksuolożka na Siewcy tłumaczy, że katolicy mogą zmieniać pozycje, kupić erotyczną bieliznę, używać perfum z feromonami, wydłużać grę wstępną i tak kochać się, by oboje czekali na „powtórkę”. Katolicyzm seksualny zrobił więc gigantyczny krok cywilizacyjny. Nie tylko można się bzykać z przyjemnością, ale wolno nawet zmienić pozycję. Oczywiście pod warunkiem spełnienia punktów od pierwszego do piątego.

Siódme – pożądać możesz, ale personalistycznie. Małżonek może mieć ochotę na małżonka, o ile nie sprowadza go do „przedmiotu użycia”. Jest to skądinąd całkiem rozsądne spostrzeżenie, tylko żeby powiedzieć ludziom „nie traktuj partnera jak rzecz”, Kościół potrzebował normy personalistycznej, integralnego daru z siebie, teologicznej antro-

eprasa.pl 7eb08cd4f6

Fundusze na Fundusz się znajdą

Cudowne źródełko

Donald Tusk jak już coś obieca, to obieca. W końcu cóż szkodzi obiecać? Zwolennicy świeckiego państwa, wygłodniali jakiejkolwiek zmiany w tym kierunku, politycznie bywają bardziej wierzący niż katolicy. Każda iskierka nadziei na ruch w stronę świeckości budzi w nich szalony entuzjazm, tak że nawet nie patrzą, kto obiecuje. No więc psst, iskierka zgasła.

Wśród „100 konkretów na 100 dni rządów" swoje miejsce znalazła też zapowiedź likwidacji Funduszu Kościelnego. Postulat znalazł się w segmencie „Świeckie państwo", gdzie obiecano również, że ocena z religii zostanie wykreślona ze świadectw szkolnych, a religia w szkołach będzie na pierwszej lub ostatniej lekcji – tych obietnic przynajmniej częściowo dotrzymano. Nie udało się za to wypełnić zobowiązań bezpośrednio uderzających po kieszeni sutanny. Ziobro zaskoczenia.

„Wprowadzimy zakaz finansowania z pieniędzy publicznych działalności gospodarczej diecezji, parafii, zakonów i innych elementów gospodarczych Kościołów i związków wyznaniowych, z wyłączeniem działalności służącej celom humanitarnym, charytatywno-opiekuńczym, naukowym i oświatowo-wychowawczym. Tacy biznesmeni jak Tadeusz Rydzyk powinni sobie radzić bez pieniędzy pochodzących z podatków obywateli" – zapowiadała szumnie Koalicja Obywatelska przed „najważniejszymi wyborami" w 2023 r. I co? I gówno. „Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej prowadzi prace analityczne nad zmianą modelu regulacji ubezpieczenia społecznego duchownych. Przygotowywane są założenia rozwiązań, które mają doprowadzić do przeniesienia ciężaru finansowania składek na ubezpieczenia społeczne za duchownych z Funduszu Kościelnego na instytucje diecezjalne, zakonne lub samych duchownych z zachowaniem pełnych gwarancji konstytucyjnego prawa do zabezpieczenia społecznego dla osób duchownych. Powołany został międzyresortowy zespół, który przystąpił do pracy nad zmianą systemu finansowania Funduszu Kościelnego oraz innych źródeł finansowania z pieniędzy publicznych kościołów, w tym także finansowania świadczeń emerytalnych i rentowych dla osób duchownych" – to kolejny konkret, który nigdy nie stał się ciałem.

Wręcz przeciwnie: w budżecie na przyszły rok przewidziano 283,5 mln zł na Fundusz Kościelny, czyli o 11 mln zł więcej, niż wydano na ten cel w 2026 r. Przypomnijmy, że pieniądze te w większości (ponad 90 proc.) przeznaczone są na opłacanie składek na ubezpieczenia społeczne osób duchownych, głównie rzymskokatolickich. Pomyślane to zostało jako rekompensata za utracone majątki, ale Kościół już dawno odzyskał z nawiązką to, co stracił. Przyjęło się jednak, że lepiej opłacać składki np. misjonarzy czy zakonnic z klasztorów klauzurowych (niewychodzących na zewnątrz) niż potem i tak do nich dopłacać. Kościół bowiem dba o swój personel, dopóki jest młody i zdrowy, a jak ktoś podupadnie bez poduszki finansowej, to już jego problem. Rząd zatem chroni społeczeństwo przed zakonami żebraczymi nie tylko z nazwy.

Oprócz duchownych rzymskokatolickich z dobrodziejstw Funduszu Kościelnego korzystają także inni. W Polsce działa mnóstwo niszowych Kościółków i związków wyznaniowych, których szamani także mogą liczyć na opłacenie składek. Magia koloratki działa tak, że urzędnicy czasem nawet nie sprawdzają, czy delikwent rzeczywiście ma uprawnienia kapłańskie, tylko podpinają go do publicznej kroplówki. A ci, którym uda się własną sektę zarejestrować, korzystają z Funduszu oraz innych przywilejów w najlepsze. W ten sposób publiczne pieniądze wspomagają kolejną armię cwaniaków, którzy z Watykanem nie mają wspólnego nic oprócz modus operandi.

Mimo tych patologii Funduszu Kościelnego nikt nie chce tykać. Księża – wiadomo. Politycy też się nie kwapią.

„Wszyscy do Funduszu Kościelnego się już przyzwyczaili. Ten temat nie jest w centrum debaty publicznej, czasem się w niej pojawia, ale bardzo szybko znika, nie wywołuje emocji tak jak jeszcze przed kilkoma laty" – mówił „Rzepie" poseł Koalicji Obywatelskiej. „Nikomu w Polsce do końca nie zależy, żeby ostatecznie rozwiązać kwestię Funduszu Kościelnego. Nie wierzę w załatwienie sprawy w tej kadencji" – to z kolei dr hab. Maksymilian Stanulewicz z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu dla PAP.



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Jak to nikomu? Premierowi zależy. Żeby likwidować, ale nie zlikwidować. Funduszem Kościelnym Tusk gra już co najmniej 15 lat.

W exposé z 2011 r. mówił: „Potrzebna jest także dyskusja nad emerytalnym zabezpieczeniem duchownych. Mówię o tej części finansowanej przez państwo za pomocą Funduszu Kościelnego. Uznajemy, że tak jak w przypadku Komisji Majątkowej, która przestała funkcjonować, ustały przesłanki właśnie dlatego, że majątek, o którym mówiono przed laty, wrócił do kościołów. Ustały przesłanki dla tego dzisiejszego rozwiązania i duchowni powinni uczestniczyć w powszechnym systemie ubezpieczeń społecznych. Jeśli będzie to wymagało, nie jest to konieczność, ale gdyby się okazało, że wymagać to będzie zmian w Konkordacie, jesteśmy na to gotowi"…

Konkretny facet. Jak obiecuje, że zlikwiduje, to zlikwiduje. Nie trzeba mu o tym co 15 lat przypominać. Może warto rozważyć – tak jak w przypadku TVP – nazwę „Fundusz Kościelny w likwidacji"?

MATT KOBOSKO

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ *Bóg jest dobrem, prawdą i pięknem.* ***Zamykanie się na Boga często polega na zakłócaniu słuchu i wzroku hałasem, manipulacją, kiczem i brzydotą.***

ks. Janusz Chyła, X, 9 września

■ *Przez lata niektórzy mieszkańcy „osiedla" Maltańskiego przechwalali się: a ja mam wybudowany dom i prawie nic nie płacę. Archidiecezja Poznańska bardzo długo zwlekała, dawała szansę. W końcu sprzedała teren ogródków działkowych – co może uczynić każdy właściciel.* ***Dzisiaj uderza się w bęben antykatolickiej propagandy, gdyż następuje eksmisja tych, którzy nie mogą tam mieszkać. Gdyby to była inna instytucja niż Kościół, dajmy na to mainstreamowa telewizja, media byłyby oburzone zachowaniem osób, które bezprawnie domagają się pozostania na działkach.***

ks. Daniel Wachowiak, X, 3 września

■ *Tak to już jest, że jedna skrajność przeobraża się w swoje przeciwieństwo.* ***Lewackie idiotyzmy wprost prowadzą do ekstremizmu nazistowskiego. Ich punktem wspólnym jest odrzucenie Bożego prawa i ludzkiej godności.***

ks. Janusz Chyła, X, 7 września

■ *Odrzucenie wartości narodu, odrzucenie wartości cywilizacji chrześcijańskiej, odrzucenie kultury chrześcijańskiej, odrzucenie roli rodziny – kiedy spoglądamy na działanie współczesnych elit politycznych rządzących Polską, to nietrudno się przekonać, że takie tendencje są dzisiaj wdrażane.* (…) ***Przypomnijmy sobie bardzo jasno: nie ma Polski przedchrześcijańskiej, nie ma też Polski postchrześcijańskiej. Polska albo jest chrześcijańska, albo jej po prostu nie ma.***

ks. prof. Paweł Bortkiewicz, Radio Maryja, 10 września

■ ***Albo staję po stronie Polski i Kościoła katolickiego, albo sprzeciwiam się tym wartościom. Nie ma tutaj postawy obojętności. To nie jest kwestia wyboru: jestem „za" albo „przeciw".*** *Wszelka postawa, którą mieliśmy utrwalaną w niedawnej historii, że „jestem za, a nawet przeciw", jest postawą schizofreniczną.*

dalej Bortkiewicz



Rys. OBYWATEL JANEK

■ *Jest prawdą, że kiedy rozum śpi, budzą się demony.* ***Gwarancją poczytalnego używania rozumu przez wieki była właśnie doktryna Kościoła, oparta na naturze, Objawieniu i cywilizowanym ładzie. Dziś w jej miejsce wchodzi makiawelicznа filozofia polityki albo emotywizm. Przykro na to patrzeć.*** *Oczekiwałbym, że biskupi poświęcą temu problemowi w swoim pasterzowaniu trochę więcej miejsca niż obecnie. Do pracy muszą wziąć się jednak przede wszystkim świeccy katolicy, ci, którzy nie chcą składać porządku natury i prawdy moralnej na ołtarzu demokratycznych korzyści.*

red. Paweł Chmielewski, Dorzeczy.pl, 11 września

■ *Ciągle słyszymy od pełniących władzę, że katolików trzeba opiłować.* ***A ostatnio marszałek sejmu, druga osoba w państwie, na kampusie w Olsztynie, krytykując Kościół, mówił o konieczności zastąpienia duchownych przez państwo w najmniejszych miejscowościach. Zachęcał do nienawiści i wołał: „nie bójmy się kleru". Moi drodzy, jako ludzie ochrzczeni nie możemy milczeć. Tutaj trzeba odwagi, by tym, którzy ignorują głos ludzi wierzących, nie słuchają narodu, nie słuchają apeli, odrzucają dialog, chcą budować na nienawiści i kłamstwie, manipulacji, chcą nas opiłowywać, trzeba im pokazać czerwoną kartkę i pamiętać przy wyborach, na kogo oddajemy ten głos*** (…).

bp Jerzy Mazur, Wiżajny, homilia, 5 sierpnia

KLECHA

pologii i papieskich katechez. Zwykłemu człowiekowi wystarcza słowo „szacunek".

Ósme – odmówisz, lecz z właściwego powodu. W kościelnych poradnikach można znaleźć rozważanie, czy odmowa współżycia w małżeństwie bywa grzechem, gdy służy karaniu partnera, wynika z egoizmu albo staje się trwałą praktyką bez uzasadnienia. Oczywiście zaraz pojawia się choroba, zmęczenie czy połóg jako uzasadnione przyczyny. Ciekawe jednak, że instytucja złożona z mężczyzn zobowiązanych do nieuprawiania seksu potrafiła dojść aż do analizy moralnej powodów, dla których żona nie ma dziś ochoty.

Dziewiąte – homoseksualnie nie będziesz, choć nad człowiekiem trzeba się pochylić z godnością. Kościelny język zrobił tu wielki postęp. Coraz rzadziej krzyczy, częściej „towarzyszy". Efekt doktrynalny pozostaje taki, że heteroseksualnemu małżeństwu seks można pobłogosławić, homoseksualnej parze nie. Jedni dostają sakrament, drudzy duszpasterza.

Dziesiąte – sumienie mieć będziesz, ale prawidłowo uformowane. Kościół mówi, że człowiek ma kierować się sumieniem. Jeśli jednak sumienie podpowiada mu, że odpowiedzialnie stosowana antykoncepcja nie jest złem, można wyjaśnić, iż sumienie zostało źle uformowane. W ten sposób człowiek jest wolny dokładnie tak długo, jak długo wybiera to, co już wcześniej zostało dla niego wybrane.

Naród nieuformowany

Największy problem z tym dekalogiem polega na tym, że Polacy przyjmują go mniej więcej tak, jak przyjmują instrukcję mycia silnika na stacji benzynowej. Wiedzą, że pewnie gdzieś wisi.

W badaniu seksualności z 2024 r. uczestniczyło 1079 osób w wieku od 18 do 65 lat. 52 proc. uznało dobry seks za bardzo ważny. Zadowolonych było 46 proc. 28 proc. chciałoby robić to częściej. W grupie 35–49 aż 43 proc. deklarowało stosunki częściej niż raz na tydzień. W całej próbie było takich 36 proc. Codziennie kochało się 5 proc.

Do tego 36 proc. badanych miało w życiu od dwóch do pięciu partnerów seksualnych. Już sam ten odsetek robi Kościołowi lekki bałagan w koncepcji jednego sakramentalnego łoża na całe życie.

Z pozycji również wyszła herezja. Ulubioną okazała się „na pieska". Wskazało ją 33 proc. respondentów. Pozycja misjonarska wylądowała dalej. 75 proc. ludzi deklarowało gotowość testowania nowych pozycji. Nie wiadomo, czy wcześniej wypełniali formularz rozeznania „zgodności z Bożą koncepcją".

Jeszcze bardziej niepokojący dla speców od teologii ciała winien być przemysł gadżetowy. 46 proc. badanych użyło przynajmniej raz jakiejś zabawki erotycznej. Wśród kobiet było to 49 proc. Najpopularniejszym kobiecym urządzeniem był wibrator do stymulacji zewnętrznej. A wszak wibrator posiada wiele funkcji, ale „wewnętrznego przeznaczenia do przekazywania życia" nie ma nawet po aktualizacji oprogramowania.

Najciekawsze są jednak orgazmy. 80 proc. mężczyzn twierdzi, że dochodzi podczas stosunku. Wśród kobiet 50 proc. Przy czym raport przypomina o istnieniu łechtaczki, organu stanowiącego teologiczny kłopot od stuleci, ponieważ jest biologicznym dowodem na to, że kobieca przyjemność seksualna nie musi mieć nic wspólnego z zapłodnieniem. Można oczywiście napisać siedem rozdziałów o „oblubieńczym sensie", ale łechtaczka nadal będzie siedziała tam, gdzie siedzi, i robiła swoje.

Nikt nie może Kościołowi zabronić rozmawiać o seksie. Wypada nawet, żeby rozmawiał, skoro od dwóch tysięcy lat tak ochoczo reguluje cudze życie seksualne. Rzecz w tym, że współczesny Polak nie czeka już z rozpoczęciem życia erotycznego na komunikat Komisji Episkopatu, podobnie jak nie konsultuje z proboszczem wyboru pozycji seksualnej, a z biskupem marki prezerwatywy. To fundamentalna zmiana, której ani kolejny kongres o ciele, ani kościelna nowomowa o „nowej ewangelizacji" nie potrafią przesłonić.

TOMASZ BOROWIECKI



Ilustr. PAWEŁ FERENC

eprasa.pl 7eb08cd4f6



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Arktyka znika

Dobre i złe wiadomości płynące z globalnego ocieplenia

Arktyka topnieje, pogoda wariuje, po suszy zaleje nas powódź. Ale spokojnie. Zanim katastrofa klimatyczna zdąży nas wykończyć, być może sami pozabijamy się w wojnie o to, co odsłoniła.

Dziś zgadzamy się z Cejrowskim: globalne ocieplenie ma również dobre strony. Przynajmniej jeśli jest się przywódcą mocarstwa, armatorem albo prezesem koncernu wydobywczego. Katastrofa klimatyczna na biegunie północnym okazała się tak atrakcyjna gospodarczo i strategicznie, że jednym z największych zmartwień świata staje się obecnie to, żeby konkurencja przypadkiem nie skorzystała na niej bardziej.

Zła wiadomość: Arktyka się topi

I to naprawdę szybko. Według najnowszego raportu amerykańskiej Narodowej Agencji Oceanów i Atmosfery okres od października 2024 do września 2025 r. był tam najcieplejszy od początku pomiarów. 10 ostatnich lat to zarazem 10 najcieplejszych lat w historii regionu. W marcu 2025 r. zimowy zasięg lodu morskiego był najmniejszy w całej historii obserwacji satelitarnych.

Jeszcze efektowniej wygląda lód stary, gruby i wieloletni, czyli taki, który pamięta czasy, gdy Donald Trump był ekscentrycznym milionerem z telewizji. Od lat 80. ilość najstarszego arktycznego lodu spadła o ponad 95 proc.

To nie jest wyłącznie problem niedźwiedzi polarnych. Mniej białej powierzchni oznacza mniej odbitego promieniowania słonecznego i więcej energii pochłanianej przez wodę. Grenlandia traci masę lodową i dokłada swoją cegiełkę do wzrostu poziomu oceanów. Zmiany wpływają też na pogodę i ekosystemy daleko poza kołem podbiegunowym.

Czyli generalnie jest chujowo.

Dobra wiadomość: kasa

Jeżeli morze było przez tysiące lat pokryte lodem, to trudno było puszczać po nim kontenerowce. Kiedy lód znika, problem znika razem z nim.

Od 2013 r. liczba statków poruszających się po Arktyce znacząco wzrosła. Najbardziej kusząca jest Północna Droga Morska biegnąca wzdłuż rosyjskiego wybrzeża. W odpowiednich warunkach może bardzo skrócić transport między Azją a Europą – w porównaniu do trasy przez Ocean Indyjski i Kanał Sueski.

A transport to dopiero początek. Pod Arktyką znajdują się gigantyczne zasoby surowców. Klasyczne szacunki US Geological Survey mówiły o około 13 proc. nieodkrytych światowych zasobów ropy i aż 30 proc. zasobów gazu. Większość z nich leży pod dnem morskim. Do tego dochodzą minerały krytyczne – no i ryby.

Przez dziesięciolecia problem polegał na tym, że wydobywanie czegokolwiek spod grubej warstwy lodu na końcu świata było potwornie drogie, trudno było też zbudować i utrzymać infrastrukturę. Z pomocą koncernom wydobywczym przyszło globalne ocieplenie wywołane między innymi spalaniem paliw kopalnych. Wydobywanie na Grenlandii będzie tańsze i technicznie możliwe.

Zła wiadomość: Chińczycy też mają mapę

Chiny nie leżą w Arktyce, co Pekin rozwiązał w charakterystyczny dla siebie sposób: w 2018 r. ogłosił się państwem „bliskim Arktyce". Geografia nie przewiduje wprawdzie takiej kategorii, ale geografia nie ma broni atomowej i drugiej gospodarki świata.

Chiński rząd przedstawił koncepcję Polar Silk Road – Polarnego Jedwabnego Szlaku, czyli arktycznego przedłużenia inicjatywy Pasa i Szlaku. Chińskie przedsiębiorstwa mają uczestniczyć w budowie infrastruktury, rozwijać żeglugę, interesować się ropą, gazem i minerałami oraz prowadzić regularny handel przez północne morza.

Dla Chin pomysł jest oczywisty. Krótsza droga do Europy oznacza mniej paliwa, mniej czasu i mniejszą zależność od tradycyjnych wąskich gardeł światowego handlu. Zwłaszcza teraz, gdy USA, Iran, Hutu i Saudowie radośnie blokują cieśniny wokół Zatoki Perskiej.

Pekin zyskuje też dostęp do surowców i kolejną przestrzeń, w której może budować wpływy. Oficjalnie – jak to w Chinach – wszystko ma się odbywać w duchu współpracy, zrównoważonego rozwoju i troski o środowisko. Nic tak bowiem nie wyraża troski o klimat jak wykorzystywanie topniejącej Arktyki do szybszego wożenia po świecie większej liczby towarów.

Dobra wiadomość: Zachód nie śpi

W poniedziałek 14 września w fińskim Rovaniemi spotkali się europejscy przywódcy. Przyjechali Friedrich Merz, Mette Frederiksen, Kaja Kallas i Antonio Costa. Spokojnie, Święty Mikołaj mieszka kawałek dalej, więc jest szansa, że przeżyje.

Oficjalnym celem Europejskiego Szczytu Arktycznego jest stworzenie wspólnego europejskiego podejścia do regionu, którego znaczenie gwałtownie rośnie. Nieoficjalnie sytuacja jest dość prosta.

Zachód przez 200 lat walnie przyczynił się do emisji gazów cieplarnianych, które pomagały Arktyce się topić, więc byłoby naprawdę niesprawiedliwe, jeśli wszystkie korzyści z tego wysiłku miałyby teraz przypaść Chińczykom i Rosjanom.

Zła wiadomość: Rosjanie również

Rosja ma ogromną arktyczną linię brzegową, wielkie zasoby surowców i kontroluje znaczną część Północnej Drogi Morskiej.

Do tego od lat militaryzuje północ globu. NATO wskazuje na utworzenie rosyjskiego dowództwa arktycznego, ponowne uruchamianie instalacji wojskowych pamiętających Związek Radziecki, otwieranie lotnisk i portów głębokowodnych oraz testowanie nowych systemów uzbrojenia.

Morze, po którym może przepłynąć kontenerowiec – to morze, po którym może przepłynąć okręt wojenny.

NATO odpowiada. W lutym tego roku Sojusz uruchomił Arctic Sentry, czyli przedsięwzięcie łączące wojskową aktywność państw NATO na dalekiej Północy. W czerwcu rozpoczęły działalność wielonarodowe siły NATO w Finlandii. Nad Morzem Barentsa latają samoloty AWACS, odbywają się wielkie ćwiczenia, a po wejściu Finlandii i Szwecji do NATO siedem z ośmiu państw arktycznych jest w NATO.

Arktyka jeszcze niedawno kojarzyła się z niedźwiedziem polarnym siedzącym na coraz mniejszej krze. Niedługo niedźwiedź będzie siedział pomiędzy rosyjską bazą, chińskim kontenerowcem i natowskim radarem.

Dobra wiadomość: i tak mamy przejebane

Topniejąca Arktyka otwiera krótsze szlaki transportowe. Krótsze szlaki oznaczają tańszy transport. Tańszy transport oznacza więcej handlu. Cofający się lód ułatwia dostęp do surowców. Więcej surowców oznacza więcej produkcji i konsumpcji. Więcej produkcji i konsumpcji oznacza dalsze zmiany klimatu, dzięki którym Arktyka będzie topniała jeszcze szybciej.

Pozostaje optymizm. Jeśli dalsza konsumpcja, spalanie paliw kopalnych i eksploatacja odsłoniętej Arktyki rzeczywiście przyspieszą katastrofę klimatyczną, możemy zniszczyć planetę. Ale jeżeli wcześniej Rosja, Chiny i NATO wystarczająco pokłócą się o to, kto ma prawo ją niszczyć, być może pozabijamy się wcześniej. I Ziemia zostanie uratowana.

LEON ORŁOWSKI

SŁOWO CZERWONE

Nasz wielki przyjaciel

Podziękuj Trumpowi przy pompie

Ceny paliw to rezultat wojny Trumpa z Iranem. W Polsce mało kto chce to tak tłumaczyć, bo miłość do prezydenta USA jest niemal obowiązkowa. A zatem skoro benzyna kosztuje 8 zł za litr – to musi być wina Tuska. I Tusk ciśnie Orlen, żeby cenę zmniejszył. Instrumentem jest drugi już projekt ustawy pozwalającej na opodatkowanie nadmiernych zysków monopolisty. Tyle że poprzedni projekt tego rodzaju prezydent odesłał do Trybunału Konstytucyjnego, czyli donikąd.

Opozycja ma więc podwójną korzyść. Może atakować Bogu ducha winny rząd za wysokie ceny paliw i jednocześnie uniemożliwiać rządowi wpływ na zachowanie rządowego koncernu, żeby te ceny obniżyć. Bo o winie USA w sprawie paliw mówić nie wolno.

Wielu komentatorów zwraca uwagę na zażyłe stosunki między Trumpem i Putinem. Ostatnio burzę wywołał fakt, że dużą część kosztów wesela syna Trumpa Donalda juniora poniósł bardzo bliski Putinowi oligarcha Umar Kremlew. Żona Trumpa juniora, Bettina, wydała natychmiast oświadczenie, w którym stwierdziła, że „nasz drogi przyjaciel Umar" w ramach prezentu ślubnego pokrył koszty dwóch dni przyjęcia po uroczystości weselnej i że był to gest przyjaźni pozbawiony jakichkolwiek politycznych kontekstów. Trudno w to uwierzyć, zważywszy, że Umar towarzyszył Putinowi w jego ostatniej wizycie w Chinach.

Trump nie ukrywa, że w sporze Rosji z Ukrainą jest bliższy Rosji. Stąd jego próba strojenia się w piórka obiektywnego rozjemcy jest skazana na niepowodzenie.

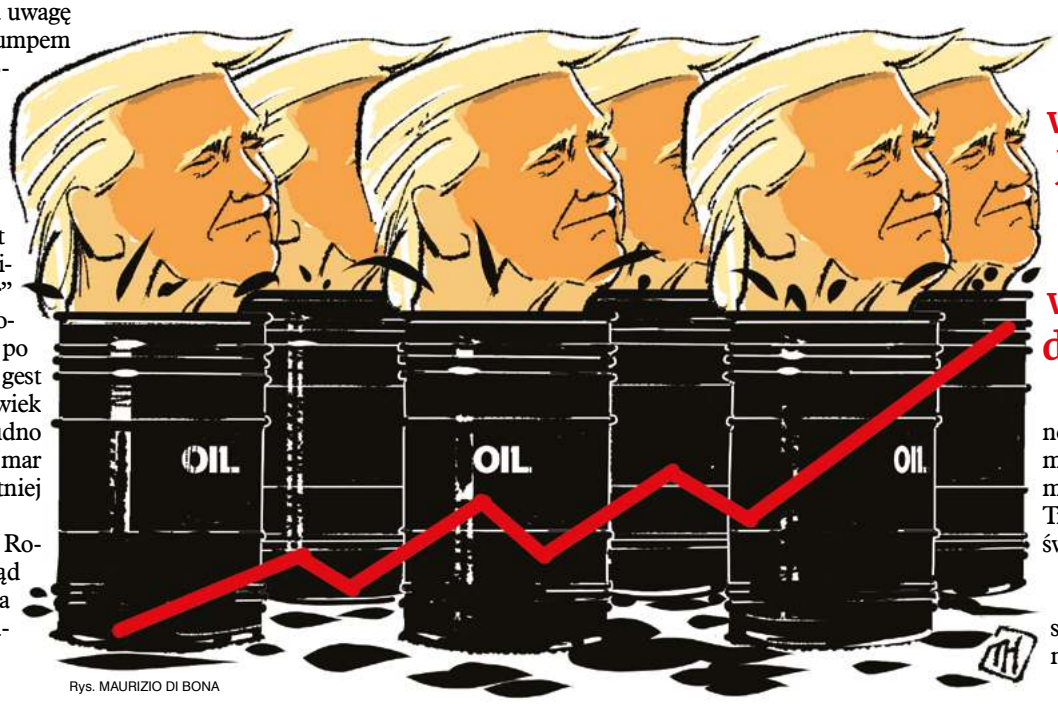
Polska wydaje jakieś niepojęte miliardy na zbrojenie się, żeby móc odeprzeć rosyjską agresję. Tymczasem nasz główny sojusznik flirtuje z naszym potencjalnym wrogiem. I ciśnie Ukrainę, żeby oddała Donbas bez walki w zamian za pokój. Skoro stosunki między Rosją i USA są tak znakomite, to co pozwala nam na tę ślepą wiarę, że w przypadku naszej wojny z Rosją Amerykanie nam pomogą?

Rosja i USA robią co mogą, żeby rozbić Unię Europejską. Wspierają w tym celu partie skrajnej prawicy, które dążą do wyprowadzenia dwóch najważniejszych państw Unii – Niemiec i Francji – z UE. Tym tendencjom przyklaskuje jedna z głównych partii prawicowej opozycji w Polsce, Konfederacja. Poseł Wilk, ciesząc się, że Alternatywa dla Niemiec wygrała w Saksonii-Anhalcie, był nawet łaskaw zauważyć z entuzjazmem, że „Niemcy się budzą". Polityk skrajnej prawicy wydaje się zupełnie nieświadomy, że kiedy ostatnio Niemcy „się obudzili", to wymordowali 6 mln Polaków. Jeżeli to tak dalej będzie szło, to po rozpadzie Unii i przy poparciu USA Niemcy mogą nam odebrać Ziemie Odzyskane.

A przecież Konfederacja to jeszcze nienajgorszy przeciwnik naszej suwerenności. Partią otwarcie prorosyjską – a zatem antypolską – jest Konfederacja Korony Polskiej Grzegorza Brauna, która jest częścią wojny hybrydowej prowadzonej przez Putina. AfD zapewne z entuzjazmem przyjmuje twierdzenie Grzegorza Brauna, że komór gazowych wcale nie było.

Saksonia-Anhalt to jeden z najmniejszych spośród 16 regionów Niemiec. I mimo zwycięstwa AfD nie zdołała osiągnąć tam większości pozwalającej na rządzenie. Jednak dla Niemiec to jest sygnał, że brunatne, ksenofobiczne siły są w natarciu.

Prezydent USA skomentował wygraną AfD w wyborach w Saksonii-Anhalcie. Jego wpis to kolejny wyraz uznania wobec tej partii.



Rys. MAURIZIO DI BONA

Donald Trump rzucił hasło: „Uczyńmy Niemcy znowu wielkimi". Jako Polak i patriota uważam, że Niemcy są już wystarczająco duże.

Jesteśmy wdzięczni Amerykanom, że pomogli nam powstrzymać gigantyczny wzrost Niemiec. I cieszmy się, że jak na razie Trump tylko mówi o zdobywaniu świata przez USA.

Nasz główny sojusznik, który sprawił, że benzyna jest po 8 zł, nie jest też demokratą. Popiera siły skrajnie nacjonalistyczne i przyjaźni się z dyktatorami, zwolennikami rządów silnej ręki – nie tylko z Putinem. Ogłosił też, że dobrze dogaduje się z przywódcą Korei Północnej Kim Dzong Unem. Zadeklarował ograniczenie wspólnych ćwiczeń z Koreą Południową, jako powód podając „dobre relacje" z północnokoreańskim dyktatorem. I oczywiście w ogóle mu nie przeszkadza ścisła współpraca wojskowa i gospodarcza Korei Północnej z Rosją. Z kolei podczas tegorocznej wizyty w Chinach prezydent USA nazwał Xi Jinpinga wspaniałym człowiekiem, bliskim przyjacielem oraz silnym przywódcą, który żelazną ręką kontroluje 1,4 mld ludzi.

Ten nieustający podziw dla dyktatorów wiele mówi o przywódcy wolnego świata. A wprowadzanie wojska wszędzie tam, gdzie w Stanach ludzie się choć trochę buntują, potwierdza tylko opinię o Donaldzie Trumpie jako niespełnionym dyktatorze i zdobywcy.

Niespełnionym – Iranu wszak nie pokonał. Amerykanie nie chcą, żeby „ich chłopcy" ginęli w wojnach napastniczych na drugim końcu świata, więc prezydent nie mógł przeprowadzić inwazji lądowej. Nie zdobył też Kanady; nazwanie premiera tego kraju gubernatorem nie uczyniło z niego kolejnego stanu USA. Nie udało się także z Grenlandią, choć ze stricte praktycznego punktu widzenia zadanie to nie było tak trudne. Wojnę handlową z Chinami przegrał. Podobnie jak na razie przegrywa wojnę z Iranem. To wszystko jednak nie zaburza przekonania Donalda Trumpa, że wolno mu domagać się od innych wszystkiego, czego zapragnie, i nie musi przestrzegać żadnych reguł gry.

Może nie musi, ale jak na razie nic mu to nie daje, bo na świecie są kraje, które mu się stawiają i on nic na to nie może poradzić. Chociaż robi, co może. Wspiera ludobójstwo Izraela, wyłączył prąd na Kubie i okrada Wenezuelę z ropy.

PIOTR IKONOWICZ

eprasa.pl 7eb08cd4f6

Islandia nie chce do Unii

Zwycięstwo rybackiej mafii czy demokracji?



Ilustr. PAWEŁ FERENC

29 sierpnia w Islandii odbyło się referendum, w którym zapytano o to, czy należy podjąć w przyszłym roku negocjacje akcesyjne z Unią Europejską. Większość – 52,8 proc – opowiedziała się przeciwko. Za było 47,2 proc. Sprawa została przez mieszkańców Islandii najwidoczniej uznana za bardzo ważną, skoro w głosowaniu wzięło udział aż 82,5 proc. uprawnionych. Większą frekwencję na poziomie 85,1 proc. zanotowano jedynie podczas wyborów parlamentarnych w 2009 r. Idea referendum zyskała poparcie ze strony większości parlamentarnej. Podczas majowego głosowania za jego przeprowadzeniem opowiedziało się 34 – spośród 63 – posłów przy ośmiu głosach przeciwnych i 14 wstrzymujących się.

Jedni za

Islandia po raz pierwszy złożyła wniosek o członkostwo w UE w 2009 r. Jednak w cztery lata później centroprawicowy rząd zawiesił rozmowy, a w 2015 r. wniosek ostatecznie wycofano. Rządzący od 2024 r. Sojusz Socjaldemokratyczny ostatnio wrócił do tematu. Premier Kristrún Frostadóttir liczyła, że w wyniku referendum większość obywateli opowie się za rozpoczęciem procedury akcesyjnej – wyniki sondaży wskazywały na to, że odsetek zwolenników i przeciwników UE jest bardzo zbliżony z nieznaczną przewagą tych pierwszych. Frostadóttir wyrażała nadzieję, iż referendum otworzy drogę do wznowienia rozmów akcesyjnych. Wtórowała jej minister spraw zagranicznych Thorgerdur Katrin Gunnarsdóttir, mówiąc, że proces akcesyjny przyśpieszy.

Koronnym argumentem zwolenników była kwestia bezpieczeństwa. „Myślę, że bezpieczeństwo znacznie wzrośnie, gdy wejdziemy do UE" – mówiła dyrektorka generalna kampanii „Tak"" Snærós Sindradóttir. Podobne stanowisko zajmuje rząd, zwracając uwagę na zmianę postawy USA. Przywołuje się tu przykład Grenlandii – wyrażając obawy, że takie same groźby mogą też być kierowane pod adresem Islandii.

Nie jest to jednak argument przekonywający. Po pierwsze, Donald Trump lubi grozić, lecz nie zaanektował ani Grenlandii, ani Kanady, z której chciałby uczynić kolejny amerykański stan. Po drugie, nie bierze się tu po uwagę tego, że Grenlandia jest częścią Danii – a więc kraju członkowskiego UE. Jak widać, dla Trumpa nie ma znaczenia, czy dany kraj jest w Unii, czy nie. Niektórzy zwolennicy liczą ponadto na obniżkę stóp procentowych, niższą inflację i niższe ceny produktów. Jednak póki co to decydujący wpływ na to mają władze poszczególnych państw, a nie Bruksela.

Argumentacja za wstąpieniem do UE okazała się zbyt cienka, aby przekonać większość do głosowania na tak. Rządząca partia na siłę wyszukiwała preteksty do tego, by kontynuować proeuropejski kurs. Mieści się to w generalnych pryncypiach europejskiej socjaldemokracji lansującej wizerunek nowoczesnej postępowej siły przeciwstawiającej się konserwatywnej zaściankowej prawicy. I skoro to właśnie będąca wówczas u władzy konserwatywna Partia Niepodległości zadecydowała o wycofaniu się z procedury akcesyjnej – to światła socjaldemokratyczna koalicja rządząca postanowiła tę procedurę przywrócić.

Po ogłoszeniu wyników referendum premier Frostadóttir ogłosiła sukces, niczym Beata Szydło po pamiętnym głosowaniu w Brukseli: „Nie dostrzegam tu porażki, widzę zwycięstwo demokracji". To samo mogła powiedzieć jeszcze przed referendum, które wszak już samo w sobie było „zwycięstwem demokracji". Które jednak – de facto – było zwycięstwem przeciwników rządu nad zwolennikami.

Inni przeciw

Aktywną kampanię przeciwko przystąpieniu do Unii prowadził obóz „Nie". Jego czołowy przedstawiciel profesor fizyki Haraldur Ólafsson uważa, że należy ludziom tłumaczyć, iż członkostwo w UE oznaczałoby „olbrzymi krok na drodze odejścia od demokracji", ponieważ pociągnęłoby za sobą oddanie władzy tym, którzy „ustanawiają reguły, nad którymi nie mamy kontroli". Również w kwestii bezpieczeństwa Ólafsson ma – mówiąc językiem prawniczym – zdanie odrębne. Nie widzi bowiem zagrożenia dla Islandii ze strony Rosjan czy Amerykanów, natomiast jedyne zagrożenie upatruje w Unii Europejskiej. Minister Gunnarsdóttir uważa taką argumentację za dezinformację i retorykę – jak się wyraziła – „wziętą z arsenału brytyjskiego eurosceptyka Nigela Farage'a".

Główne obawy dotyczą przyszłości rybołówstwa będącego czołowym sektorem islandzkiej gospodarki. Przede wszystkim chodzi o narzucenie kwot połowowych. UE praktykuje planowanie negatywne i zamiast promować wzrost produkcji, narzuca limity – jak choćby kwoty mleczne, których przekroczenie jest niedopuszczalne, a nadwyżki ponadlimitowe mają być niszczone. Frostadóttir przekonywała, że Islandia nie będzie wstępować do Unii na niekorzystnych warunkach, zapewniała o uwzględnieniu zasobów naturalnych i szczególnej uwadze, jaka zostanie poświęcona rybołówstwu. Rząd obiecywał, że będzie też starał się wynegocjować ulgi w odniesieniu do produkcji rolno-spożywczej i nie będzie podporządkowywać się regułom obowiązującym inne państwa członkowskie. W ten sposób starał się przekonać większość głosujących do opowiedzenia się na „tak". A jednak nie przekonał. Pracujący w branży rybołówstwa – a są ich tysiące – obawiają się też utraty pracy, gdyż członkostwo w Unii otworzy akweny połowowe dla statków z innych krajów członkowskich.

Pozostając poza Unią, Islandia jest w Europejskim Obszarze Gospodarczym, korzysta ze swobodnego ruchu towarów, usług, kapitału i pracowników. Przyjęła też ok. 9 tys. unijnych regulacji. Prof. Ólafsson przekonuje, że skoro Islandia stosuje już około 75 proc. unijnych przepisów, to nie ma potrzeby, by było ich więcej. Ponadto Islandia wchodzi w skład strefy Schengen.

Konkurencja się wścieka

Na rezultat referendum w niemal histeryczny sposób zareagowano w krajach, które już miały chrapkę na islandzkie łowiska. Słyszymy, że wpływ na głosowanie miała „rybacka mafia".

Według szwedzkiego dziennika „Svenska Dagbladet", 80 proc. kwot połowowych należy do około 20 firm, przy czym połowa znajduje się w rękach sześciu rodzin. Czy te sześć rodzin mogło zadecydować o wyniku referendum? Tak najwidoczniej sądzi szwedzka gazeta – wyjaśniając, że działają one po cichu, finansując kampanie, wpływając na polityków.

O wpływach tych wspomina także duńska gazeta „Berlingske", nazywając islandzki sektor rybołówstwa nowoczesną oligarchią oparta na chciwości i strachu – ale nie precyzują przed czym. Zdaniem dziennikarzy „rybołówstwo zjada demokrację od wewnątrz". Jednak chyba nie zjadło jej do końca, skoro odbyło się tam referendum.

Co dalej?

Wynik referendum oznacza, że kwestia wstąpienia do Unii została zawieszona na kołku. Jednak nie bezpowrotnie. Nie jest bowiem wykluczone, że za jakiś czas referendum zostanie powtórzone – tak jak w przypadku ponownego głosowania Irlandii w sprawie układu lizbońskiego. Reasumpcja głosowania nie jest bynajmniej polskim wynalazkiem, reasumpcja unijna tym się jednak różni od sejmowej, że nie następuje natychmiast, lecz po upływie pewnego czasu. Powolutku aż do skutku.

BOLESŁAW K. JASZCZUK

Prawica pławi się w luksusie

Afera w Madrycie



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Albo grubo, albo wcale – uznała spółka Planifica Madrid, należąca do władz regionu hiszpańskiej stolicy, i kupiła w zeszłym roku penthouse za 6,3 mln euro. Apartament na dachu miał służyć jako tymczasowe lokum szefowej lokalnych władz: prezydent Wspólnoty Madrytu, Isabel Díaz Ayuso z Partii Ludowej. Gnieżdżący się w coraz ciaśniejszych lokalach – ceny w mieście oszalały – zwykli Madrytczycy wkurwili się do czerwoności, widząc bezczelną rozrzutność władz samorządowych.

Złote a skromne

Hiszpańska Iza nie pierdoliła się w tańcu, dochodząc do wniosku, że rządzić warto w adekwatnych warunkach. Liberalny dziennik „El País" ujawnił, że Planifica Madrid nabyła luksusowy penthouse, liczący skromne 485 mkw, że o nieomal 200-metrowym tarasie nie wspomnę. Niby miało to być biuro Ayuso i jej „niewielkiego zespołu", lecz to dość zastanawiające, skoro miejscowy plan zagospodarowania przestrzennego nie przewiduje w tym miejscu biur, lecz mieszkania.

Żeby było śmieszniej, okazało się, że Planifica Madrid posiadała własny lokal, niewiele mniejszy od kupionego za gruby szmal penthousu. Ma on siedem gabinetów, trzy łazienki i części wspólne. Póki co lokal jest pustostanem, region miał go wystawić na sprzedaż.

Ayuso zachowała się jak każdy złodziej złapany za rękę. Stwierdziła, że ona i jej rodzina padli ofiarą nagonki ze strony lewicy, że w tej sprawie jest tak naprawdę ofiarą. Uznała, że to kolejny rozdział w kampanii prześladowań, której uprzednimi ofiarami padli jej ojciec, brat i partner (tego ostatniego oskarżano o oszustwa podatkowe).

Podkreślała, że jest krystalicznie czysta, a za wszystkie swoje domy czy wakacje płaciła z własnej kieszeni. Pytania, kto zlecił zakup penthousu, komu miał on służyć, dlaczego wybrano ten, a nie inny lokal – pozostały bez odpowiedzi. Dodała jednak rezolutnie, że pomysł zamieszkania przez szefa regionu w rezydencji jest przedni.

Kiedy sprawa się rypła, zdecydowano o wystawieniu apartamentu na dachu na sprzedaż – i to za kwotę wyższą, niż zapłaciła spółka publiczna. Jednak sąd w Madrycie prowadzi dochodzenie w tej sprawie, a to ze względu na napływające skargi, zarówno od osób prywatnych, jak i partii politycznych. Autorzy skarg twierdzą, że nabycie odbyło się bez odpowiedniej dokumentacji, przydziału środków budżetowych ani publicznego uzasadnienia, co budzi podejrzenia o popełnienie przestępstwa.

Warto podkreślić, że Ayuso zasłynęła zdolnością przyciągania potężnych korporacji i globalnych bogaczy do regionu, przychylając im nieba, czyli oferując obniżki podatków. Jako iż nazjeżdżało się do Madrytu multum milionerów i miliarderów, ceny mieszkań poszybowały w górę, a wynajęcie – nie wspominając już o kupnie – madryckiego dachu nad głową jest coraz bardziej poza zasięgiem przeciętnego obywatela.

Prawo do miasta

Oczywiście, że politycy kradną – to żadna nowość. Że są zakłamani i dwulicowi – to też żadna niespodzianka. Jednak afera w Madrycie każe zastanowić się nad kluczowym pytaniem – a mianowicie: kto ma prawo do miasta. To pytanie tym ważniejsze, że jest uniwersalne, bo dotyczy nie tylko Hiszpanii, ale całego świata: od Mumbaju po Nowy Jork.

Sięgnijmy zatem do marksistowskiego geografa Davida Harveya, który w książce „Bunt miast. Prawo do miasta i miejska rewolucja" pisze, iż

prawo do miasta jest „czymś o wiele szerszym niż prawo dostępu jednostki lub grupy do zasobów, które zawiera miasto: jest prawem do zmiany i wynajdywania miasta na nowo takim, jakim go pragniemy. Jest też prawem bardziej kolektywnym niż indywidualnym,

ponieważ wynajdywanie miasta na nowo w sposób nieunikniony zależy od sprawowania kolektywnej władzy nad procesem urbanizacji".

Prawda powyższa jest niesłychanie istotna w Polsce. Praktycznie każde większe miasto – bo mniejsze zwykle wyludniają się w zastraszającym tempie – jest opanowane przez mafię deweloperską. Miasta łatają budżet, sprzedając najatrakcyjniejsze grunty. Chwalą się rewitalizacją kolejnych ulic czy dzielnic, ale już cisza jak makiem zasiał panuje, gdy pojawia się pytanie, o ile w danej kamienicy czy bloku wzrośnie czynsz. Faktycznie, ładna okolica podnosi walory estetyczne mieszkania, lecz może jednocześnie z tych pięknych dzielnic wypchać już nawet nie biedotę, lecz klasę średnią.

Niestety, w polskich miastach nadal króluje pogoda dla bogaczy. Odnowione skwery i parki, zmodernizowane elewacje przyciągają pieniądz – często bardzo duży. Nikogo nie obchodzi, że dana rodzina mieszkała w kamienicy od powojnia, że tu wrosła i zapuściła korzenie. Kapitał ją wypędzi, wiadomo: jebać biedę!

Generalnie rzecz ujmując, nasze ruchy miejskie są – przynajmniej na tle zachodniej Europy – dość rachityczne, nieraz zdominowane przez klasę średnią i jej problemy ludzi z różowej chmurki.

Czas, by miasta trafiły w ręce obywateli, a nie były na usługach kapitału. Oczywiście, sprzedajni politycy nie podadzą ich zwykłym ludziom na tacy. Trzeba o nie z pasją walczyć, zarówno w Hiszpanii, jak i w Polsce.

ZUZANNA JURCZYŃSKA

eprasa.pl 7eb08cd4f6



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Gonienie gryzonia

Czyt to dobrze, że szczury nie uciekają z polskich miast?

Każdy, kto lubi wielkie miasta, powinien odwiedzić Warszawę. Stolica ma już bowiem właściwie wszystko. Wieżowce, metro, bulwary, strefę czystego transportu, ścieżki rowerowe, restauracje, apartamentowce za ponad 25 tys. zł za metr kwadratowy, miejskie plaże, parki kieszonkowe, świecące fontanny, domki dla owadów i szczury. Mnóstwo szczurów.

I być może właśnie one są najbardziej obiektywnym ze wszystkich rankingów jakości życia. Człowiekowi można wmówić, że korki oznaczają rozwój, drogie mieszkania świadczą o atrakcyjności metropolii, przepełnione autobusy o sukcesie komunikacji publicznej, a śmiecie pod kubłami o wysokiej konsumpcji. Szczura marketingiem nabrać się nie da. On chce mieć ciepło, bezpiecznie i pełną michę. Jeśli więc całe szczurze rody nie mają najmniejszej ochoty stąd uciekać, to stolica musi być dla nich nader dobrym miejscem do życia. Niegdysiejsi marynarze twierdzili, że szczury pierwsze opuszczają tonący statek. Warszawiacy mogą zatem spać spokojnie. Ich okręt najwyraźniej jeszcze nie tonie.

Warszawski świt

Najbardziej efektowne szczurze osiedle powstało w samym centrum stolicy, w rejonie skrzyżowania Nowolipia z Aleją Jana Pawła II. Przy jednej z głównych arterii Warszawy, pomiędzy blokami i lokalami gastronomicznymi. Szczury biegają pod budynkami, kręcą się przy knajpach, penetrują śmietniki, włażą do piwnic i na klatki schodowe, a w ziemnej skarpie urządziły sobie wielorodzinne budownictwo podziemne. Problem, według ludzi pracujących w okolicznych pawilonach gastronomicznych, trwa już około dwóch lat. Szczury siedzą w altanach śmietnikowych, buszują w zaroślach i skaczą po pojemnikach na odpady.

Szczury opanowały Warszawę, mimo że się je zwalcza. Właściciele punktów gastronomicznych na Muranowie co miesiąc płacą za deratyzację. Warszawskie przepisy nakazują przeprowadzanie obowiązkowej deratyzacji między innymi w podpiwniczonych budynkach wielolokalowych, lokalach gastronomicznych, obiektach handlujących żywnością, miejscach zbiorowego żywienia, wnętrzach międzyblokowych oraz miejscach gromadzenia odpadów. Obowiązkowe akcje odbywają się dwa razy w roku. Papierowo gryzoń ma zatem przechlapane. Ale najwyraźniej nie czyta regulaminu utrzymania czystości. Powiatowy Inspektorat Sanitarny stwierdził, że mnogość lokali gastronomicznych czyni centrum miejscem szczególnie atrakcyjnym dla szczurów, a trwałe wyeliminowanie gryzoni może być wyjątkowo trudne.

Żarcia szczurom nie brakuje, zimy coraz łagodniejsze, ludzie dokarmiają ptaki, śmietniki stoją otworem, a kiedy zrobi się naprawdę nieprzyjemnie, można starym warszawskim zwyczajem zejść do kanałów.

Mkną po szynach

Warszawa może zresztą schować swoje stado gryzoni do kieszeni, bo prawdziwą szczurzą metropolię zbudowano nad Odrą. Ich populację oszacowano na nawet milion sztuk. I gdyby przesadzono dwukrotnie, to pół miliona szczurów oznaczałoby, że do każdego statystycznego Wrocławianina nie przypada wprawdzie jeszcze osobisty gryzoń, ale miasto bardzo się do tego standardu zbliżyło. Gdyby zaś milionowy szacunek okazał się trafny, należałoby poważnie zastanowić się, kto właściwie jest we Wrocławiu gatunkiem dominującym.

W mieście istnieje nawet miejsce, które wyrobiło sobie światową markę własną. To ulica Igielna w samym centrum, występująca w internecie jako „Rat Street" – szczurza ulica. Szczurów jest tam tyle, że ludziom łatwiej było nazwać od nich ulicę, niż udawać, że problem nie istnieje. Panie wracające do domu biorą parasolki i wykorzystują obcasy, by stukając nimi, płoszyć zwierzęta. Czasami działa – czasami nie.

Wrocławianie opowiadali mediom, że w domach wieczorem słychać piski, skrobanie i pazury ślizgające się po rurach. Gryzonie buszują między krzakami, w których leżą także ich martwi pobratymcy. Potrafią wychodzić z młodymi. Gdy otwiera się wieczorem okno, zamiast wielkomiejskiego szumu można usłyszeć „piski i tupot pazurów". Człowiek kupował mieszkanie z widokiem na centrum europejskiej metropolii, a dostał ścieżkę dźwiękową z filmu, w którym za chwilę ktoś zejdzie do piwnicy i już nie wróci.

Najbardziej szydercze poczucie humoru mają przy tym same gryzonie. Na Igielnej nie tylko biegają po rabatach i tłuką się o resztki żarcia. Potrafią siedzieć obok pudełek z napisem „deratyzacja".

Ta zaś w centrum Wrocławia trwa przez 10 miesięcy w roku. Rozstawia się ok. 10 tys. stacji deratyzacyjnych i zużywa prawie 4 tony trutki. Efekt – szczury nadal są przy śmietnikach, na podwórkach, w krzakach, na zapleczach sklepów, przy Słowiańskiej, na Nadodrzu, na Igielnej, a co gorsza potrafią wprowadzić się bezpośrednio do mieszkań.

W 2024 r. na deratyzację we Wrocławiu poszło 2,5 mln zł, w kolejnym tyle samo. Ale szczury mają jedną gigantyczną przewagę nad urzędnikiem. Nie potrzebują strategii rozwoju populacji do 2035 r. Ciąża szczura trwa od 21 do 29 dni, przeciętnie na świat przychodzi około ośmioro młodych, a jedna samica może wydać nawet pięć miotów rocznie. Na dodatek szczurza panna sama może rozpocząć produkcję następnego pokolenia już po mniej więcej trzech miesiącach życia. Czyli w czasie, w którym urząd zdąży przygotować odpowiedź na bardziej skomplikowane pismo, szczurzyca może zostać babcią.

Morze, nasze morze

Szczur jest zwierzęciem wybitnie śródlądowym. Nad morzem też mu dobrze. Do tego stopnia, że w Gdańsku mieszkańcy centrum zaczęli wieczorami wychodzić z latarkami, żeby się nie potknąć o gryzonia.

Na Długiej, czyli ulicy, którą każdego roku maszerują tłumy turystów, gryzonie rano biegają ludziom pod nogami. Wieczorem przenoszą się na trawniki i drzewa. Na ul. Za Murami cała wiata śmietnikowa została przez szczury obkopana. W marcu rodzice korzystający z Parku Śródmieście dowiedzieli się, że można połączyć plac zabaw z edukacją przyrodniczą. Szczury znaleziono tam siedem metrów od piaskownicy.

W końcu Gdańsk zrobił coś naprawdę nowoczesnego. Skoro nie udało się szczurów zlikwidować, zaczęto je badać. W marcu w centrum miasta rozpoczął się odłów gryzoni w ramach finansowanego przez Narodowe Centrum Nauki projektu badawczego.

Gdańszczanie nie są w tej kwestii szczurów jednomyślni. W ankiecie z udziałem 587 osób aż 36 proc. deklarowało niepokój lub obrzydzenie na widok miejskiego szczura. 27 proc. po prostu go ignorowało. Tylko 3 proc. zgłaszało sprawę właściwym służbom.

Za to po 13 proc. Gdańszczan albo odczuwało do gryzonia sympatię, albo uznawało, że szczur w dużym mieście jest czymś normalnym.

Miasto jednak tak nie ma i wciąż walczy. Obowiązkowa deratyzacja odbywa się w Gdańsku dwa razy w roku. Zarządca nieruchomości, który podczas interwencji straży miejskiej nie potrafi pokazać dowodu przeprowadzenia akcji, może dostać mandat do 500 zł.

W połowie lipca władze Gdańska najwyraźniej uznały, że trucizna, kontrole i 2 tys. studni to wciąż mało. Ogłoszono miejską kampanię pod hasłem „Szczur ma nosa". Chyba nie wyszło, bo teraz miasto analizuje metody ograniczania rozrodczości szczurów.

Krakowski spleen

Populacja gryzoni w Krakowie przyjęła lokalny model rozwoju i ekspansję prowadzi wolno, acz konsekwentnie. W 2023 r. Straż Miejska odebrała 111 zgłoszeń dotyczących szczurów. W 2024 r. było ich już 222. Rok później — 237.

Największymi gwiazdami statystyki zostały ul. Bujaka i Ojcowska, z których przyszło po siedem sygnałów, oraz Al. Słowackiego i Chocimska z sześcioma. W Bronowicach Starych gryzonie od roku pojawiają się w dużych ilościach i są głośne. Na Krowodrzy ludzie opisywali szczury włażące na balkony. Zdarzają się nawet relacje o gryzoniach wydostających się z toalety w mieszkaniach na parterze.

Przy ul. Miechowity szczury wybrały sobie zarośla. W grubych, gęstych krzakach mają znakomite miejsce do rozmnażania, a pod roślinami zalega warstwa liści i odpadów zielonych gromadzonych przez kilka poprzednich lat. Mieszkańcy chcieli przerzedzić krzewy, usunąć zalegającą materię i zrobić deratyzację. Krzaki okazały się ważniejsze. Władze Krakowa odmówiły ich przerzedzenia, bo są zdrowe, żywotne i tworzą „zwarty i estetyczny zieleniec".

Była i kontrola. Straż Miejska otrzymała pismo sanepidu dotyczące szczurów przy Miechowity, pojechała na miejsce i gryzoni nie ujawniła. Potem przeprowadziła kolejną wizję, tym razem w rejonie wskazywanym przez krakowską radną, i również szczurów nie znalazła. I pewnie dlatego miasto zleciło tam deratyzację.

Ile szczurzych familii mieszka w Krakowie, nikt nie wie. LoveKraków przytoczyło jednak szacunek, według którego na jednego mieszkańca miasta mogłyby przypadać trzy, cztery szczury.

Z polskimi miastami nie jest więc najgorzej, bo szczury z nich nie uciekają. Ba, można wręcz powiedzieć, że nasze metropolie naprawdę tętnią życiem.

TOMASZ BOROWIECKI

WIEŚCI GMINNE i INNE

W kieleckim amfiteatrze Kadzielnia, pośród surowych skał i jeszcze surowszego patriotycznego wzmożenia, doszło do estradowej kopulacji popkultury z militaryzmem. Dorota Rabczewska, znana szerzej jako Doda, wystąpiła u boku Reprezentacyjnego Zespołu Artystycznego Wojska Polskiego. Wybór to nader trafny: pani Dorota, podobnie jak nasza armia, uwielbia błyszczeć, prężyć się i udawać, że dysponuje siłą rażenia, której w rzeczywistości nikt nie widział. Złośliwcy, których w tym kraju nie brakuje, wyliczają szansonistce jej sądowe trofea: rok w zawieszeniu za nękanie byłego gacha, grzywnę za żarty z autorów Biblii oraz świeże zarzuty o pomoc w ukrywaniu milionów przed wierzycielami. Krótko mówiąc – życiorys godny prawdziwego żołnierza wyklętego, tyle że w wersji z cekinami. Ministerstwo Obrony Narodowej, zapytane o standardy etyczne pozwalające skazanej prawomocnie celebrytce reprezentować twarz polskiego oręża, nabrało wody w usta. To zrozumiałe. W resorcie, który od lat specjalizuje się w unikach i maskowaniu, milczenie jest najtańszą formą obrony terytorialnej.

Po 17 latach z martwych wstał Star. To zmartwychwstanie ma jednak wyraźny posmak germańskiego piwa, bo „narodowa" ciężarówka to w rzeczywistości przebrany MAN, produkowany w niemieckiej fabryce w Niepołomicach. Na targach w Kielcach z dumą zaprezentowano to cudo, które ma służyć głównie wojsku, by nasi dzielni wojacy mogli bronić ojczyzny, siedząc wygodnie na niemieckich podwoziach. Kwintesencja współczesnego patriotyzmu gospodarczego: bierzemy gotowy produkt od sąsiada, naklejamy na niego tabliczkę z polską nazwą i ogłaszamy triumf narodowego ducha.

Na warszawskim Targówku alejka w Parku Wiecha, zamiast planowanych 5,3 mln zł, kosztowała ostatecznie ponad 10 mln. Burmistrz zawiadomił prokuraturę o podejrzeniu przekroczenia uprawnień i poświadczenia nieprawdy przez byłych urzędników. Zaznaczył przy tym przytomnie, że sam donos o niczym nie przesądza. To logiczne: burmistrz donosi na podwładnych, bo inaczej ktoś mógłby donieść na niego za brak nadzoru. W urzędniczej taktyce nazywa się to ucieczką do przodu. Gdyby milczał, prokurator mógłby zapytać, gdzie był, gdy cena alejki rosła o 100 proc.

Sądy administracyjne uznały, że odpowiedzialność zbiorowa to nie tylko przeżytek stalinizmu, ale i fundament nowoczesnej ekologii. Jeśli jeden lokator wrzuci ogryzek do plastiku, cała wspólnota płaci podwójnie – jak w Gliwicach, gdzie 121 osób ukarano za cudzy błąd. To genialne posunięcie wychowawcze. Nic tak nie buduje więzi sąsiedzkiej i czujności obywatelskiej jak konieczność regularnego grzebania w śmieciach sąsiada, by sprawdzić, czy nie planuje nam właśnie podnieść czynszu. Wreszcie doczekaliśmy czasów, w których donosicielstwo stało się nie tylko obowiązkiem moralnym, ale i prostym rachunkiem ekonomicznym.

Kościół i hazard zawsze szły w parze, ale tym razem to państwo płaci za tę symbiozę. W magazynach Caritasu pod Olsztynem rdzewieje 9 tys. jednorękich bandytów zabezpieczonych ongiś jako dowody nielegalnego hazardu, za których pilnowanie skarb państwa buli Kościołowi 1,3 mln zł rocznie. Sąd chce je sprzedać, ale urząd skarbowy odmawia, bo wycena tego złomu kosztowałaby więcej niż on sam. Prawo jest jednak nieubłagane: najpierw trzeba spróbować opchnąć śmiecie, a dopiero potem można je zutylizować. To ciekawy przypadek, gdy automat do gier zawsze wygrywa, nawet gdy jest zepsuty – pod warunkiem że stoi na święconej ziemi.

Strażacy z OSP Żabce zamienili mundury na fartuchy sortowaczy. Aby kupić wóz gaśniczy, muszą uzbierać 4 mln plastikowych butelek po napojach. W Międzyrzecu Podlaskim para złodziei postanowiła jednak opodatkować tę zbiórkę, kradnąc plastikowy urobek z kontenera. Oto polska nowoczesność: bezpieczeństwo przeciwpożarowe oparte na piciu oranżady. System kaucyjny, zamiast zbawiać świat, stał się nowym polem bitwy dla drobnych rzezimieszków. Jeśli strażacy nie wyżebrzą od narodu odpowiedniej ilości PET-ów, ogień będzie musiał poczekać, aż społeczeństwo dostatecznie się nawodni.

Pięciu 15-letnich gówniarzy z Gdyni postanowiło sprawdzić, czy od nikotyny w saszetkach rosną skrzydła, czy tylko mdłości. Czterech wylądowało w szpitalu. Policja przygnała psa, żeby tropił tytoń. Prawo w Polsce to poemat o legislacyjnym kretynizmie. Małolatowi wolno snus zażywać, ale nie wolno mu go kupić ani otrzymać. To tak, jakby państwo pozwalało obywatelowi marzyć o seksie, ale zabraniało mu dostępu do organów płciowych. Pytanie o dostawcę jest kluczowe. Tropy geograficzne i towarzyskie wskazują na nazwisko Nawrocki.

Polska trzeźwieje, co zwiastuje ostateczny upadek obyczajów i budżetu. W pierwszym półroczu 2026 r. spożycie wódki spadło o jedną piątą, a produkcja o blisko 19 proc. Rząd w swej nieskończonej chciwości podniósł akcyzę, ale zamiast miliardów zyskał dziurę w kieszeni, bo naród, terroryzowany nocną prohibicją od Sopotu po Kraków, przestał tankować pod korek. To logiczny skutek radosnej twórczości lokalnych dygnitarzy, którzy uznali, że po 22.00 obywatel ma prawo jedynie do snu i ewentualnie cichego płaczu w poduszkę.

Rycerze dubeltówki i piersiówki w żałobie. Obywatelski projekt zmian w prawie łowieckim zakłada, że myśliwy nie będzie mógł polować po pijanemu. To bezczelny zamach na polską tradycję, w której odyńca najlepiej widzi się przez dno butelki. Do tego zakaz strzelania 700 m od domów – jakby kula nie mogła wpaść z wizytą do sypialni. Jeśli ustawa przejdzie, panowie w zielonych kapeluszach będą musieli być trzeźwi i widzieć, do czego strzelają. To koniec łowiectwa, jakie znamy. Zostanie tylko nudne zabijanie bez promili.

Warszawa przestała być miastem, a stała się wielkim paśnikiem. Liczba dzików w stolicy potroiła się w dwa lata, a 160 osób przekonało się, że bliskie spotkanie z naturą kończy się na chirurgii. Marcin Możdżonek okupujący stołek prezesa PZŁ, ogłasza, że relokacja to mrzonka i trzeba po prostu zacząć strzelać. Łaskawie obiecuje jednak, że nie będzie urządzał polowań między blokami ani na placach zabaw.

Wrocławskie zoo przekonuje, że w klatkach trzyma się nie tylko małpy, ale i cudze prawa autorskie. Sąd nakazał wypłatę 120 tys. zł artyście Tomaszowi Urbanowiczowi, którego projekt mozaiki na Afrykarium „pożyczono" sobie bez pytania i zapłaty. Ogród główną sumę przełał, ale o dodatkowe 50 tys. zł zadośćuczynienia zamierza walczyć do ostatniej kropli krwi, zasłaniając się „powagą wymiaru sprawiedliwości". To piękna lekcja biologii: w naturze kradzież nazywa się symbiozą, we Wrocławiu – oszczędnością na kosztach projektu.

W Lublinie doszło do radosnego spotkania dwóch konkurencyjnych zabobonów. Muzułmanin z Kazachstanu, korzystając z gościnności polskiej służby zdrowia, poczuł się nagle śmiertelnie urażony widokiem krzyżyka na szyi ratownika. Zamiast podziękować za ratowanie życia, postanowił sprawdzić wytrzymałość krtani medyka, wykrzykując przy tym hasła reklamowe swojej korporacji wyznaniowej: Allāhu Akbar. Ordo Iuris triumfuje, mając wreszcie dowód na to, że chrześcijanie są prześladowani przez importowaną konkurencję. Napastnik usłyszał zarzuty napaści i stosowania przemocy z powodu wyznania. To fascynujące, że kawałek metalu na szyi potrafi wywołać taką furię.

RJ

PS Informacje pochodzą z mediów lokalnych, a zatem mogą mieć z prawdą związek luźny, przypadkowy albo czysto towarzyski. Donosimy o tym z ostrożności procesowej oraz ku rozwadze tych, którzy chcieliby potraktować je jak fakty, dowody albo, co jest absolutnie wykluczone, podstawę prawną.

eprasa.pl 7eb08cd4f6

Dziewczyny w natarciu

Skąd biorą się sukcesy polskich sportsmenek? Bo nie ze szkoły.

Jesteśmy jakoby 20. gospodarką świata. Potęgą w sporcie na pewno nie jesteśmy, jak bardzo staralibyśmy się naciągnąć fakty do życzeń.

Przekleństwo wuefu

Ileż to razy widziałem różne opracowania, a wniosek wypływał z nich taki sam: polska młodzież nie umie i nie chce się ruszać. Bodaj najbardziej znany jest „Raport WF z AWF". Wyniki badań są rzeczywiście przerażające. Tylko 50 proc. dzieci w wieku 8–12 lat może pochwalić się minimalnym opanowaniem alfabetu ruchowego. Kłopot z nadmierną masą ciała ma 20–25 proc. badanych. Problem dotyczy nawet szkół sportowych.

Ze sportem – także takim na podstawowym poziomie – mają oczywiście ambaras również dziewczęta. Maria Hawranek, która dokładnie przyjrzała się tej kwestii i przestudiowała raport „Dziewczęta i kobiety w sporcie. Specyfikacja pracy w sektorze sportowym w Polsce" (autorstwa M. Popielawskiej, A. Gołdych i R. Woch) zwraca uwagę, że wciąż żyjemy w społeczeństwie patriarchalnym, a interesująca nas dziedzina jest zdominowana przez mężczyzn. Na pierwszy rzut oka wszystko się zgadza z tą tezą. Jest prawie 10 razy mniej trenerek niż trenerów i w znakomitej większości dyscyplin mniej zawodniczek niż zawodników. Kobiety zajmują znikomą liczbę stanowisk we władzach różnych gremiów kultury fizycznej. Męski jest język i sposób sprawowania władzy, przez co – jak zauważa Maria Hawranek – kobiety w sporcie są trochę jak mniejszość etniczna w państwie.

Nawet podoba mi się tekst Marii Hawranek, zwłaszcza porównanie sportsmenek do mniejszości etnicznej – ale zauważyłem, że dziewczyny i panie jakby absolutnie tym wszystkim się nie przejmowały. One także mówią męskim językiem; wkurza mnie, gdy słyszę, gdy siatkarki albo piłkarki opowiadają, iż czeka je mecz z trudnym rywalem, a nie z trudnymi rywalkami. Choć są to takie same młode dziewczyny jak one.

Dziewczynki nie lubią lekcji wychowania fizycznego, często wstydzą się własnego ciała – a dochodzą do tego tak prozaiczne względy jak okres, brudna szatnia czy brak możliwości wzięcia ciepłego natrysku po ćwiczeniach. System ocen także pozostawia wiele do życzenia. Czy naprawdę należy stawiać stopnie za wykonanie poszczególnych ćwiczeń? Dziewczynki „czują, że to nie ich przewrót w przód jest na tróję, ale że to one są na tróję. Na WF-ie ocena dotyczy przecież ich cielesności" – pisze Hawranek.

Wszystkie te wywody brzmią logicznie i z pewnością są prawdziwe. Jest jednak coś, co zaprzecza tym tezom. Lekcje WF w szkołach to co innego niż sport wyczynowy – ale skąd biorą się sukcesy naszych kobiet na arenach międzynarodowych?

Atletki górą

Podczas mistrzostw Europy w Birmingham reprezentacja Polski zdobyła osiem medali. Siedem było dziełem lekkoatletek, jeden – ich kolegi. Co ważne, większość polskich medalistek to młode zawodniczki, przed którymi jeszcze wiele lat startów, również olimpijskich. Nie może nie imponować np. Klaudia Kazimierska, 25-letnia biegaczka średniodystansowa rodem z Włocławka.

Wyniki w nauce i w sporcie pozwoliły jej przenieść się do Stanów. Ukończyła licencjat na Uniwersytecie Stanu Oregon z analizy matematycznej. Na amerykańskich uczelniach panuje kult sportu. Studenci mają do tego nie tylko znakomite warunki (stadiony, hale), ale otaczająca ich atmosfera sprzyja ciągłemu doskonaleniu się i osiąganiu coraz lepszych rezultatów. Nie znaczy to, że amerykański model nie jest pozbawiony wad – bywa, że rzekome osiągnięcia sportowe, sfałszowane od początku do końca, stanowią przepustkę na uczelnie i jeszcze zapewniają stypendium. Pisałem kiedyś o tym, ale teraz nie będę się zajmować amerykańskimi problemami. Sukcesy sportowe, które zapewniły Klaudii Kazimierskiej indeks Uniwersytetu Stanu Oregon, nie były fikcyjne, a teraz pokazuje coś jeszcze. Chłodny umysł w życiu i treningu.

Matematyczka planuje rozwój swojej kariery z matematyczną precyzją. Nie startuje tam, gdzie mogłaby zarobić, ale wybiera starty zgodnie ze swoim planem treningowym. Już po mistrzostwach Europy biła kolejno rekordy Polski i jest na pewno naszą kandydatką do sukcesu podczas igrzysk olimpijskich w Los Angeles.

Inna polska srebrna medalistka z Birmingham (złoty medal w biegu na 100 m przez płotki przegrała o tysięczną część sekundy!) Pia Skrzyszowska to reprezentantka innej typowo polskiej szkoły sportu wyczynowego. Jej obecnym trenerem jest ojciec – Jarosław. Takie rodzinne duety są w naszej lekkoatletyce nierzadkie.

Podczas igrzysk olimpijskich w Paryżu jedyny polski złoty medal zdobyła zawodniczka, a nie zawodnik, Aleksandra Mirosław, której trenerem jest mąż Mateusz. Aleksandra Mirosław nie będzie w Los Angeles bronić złotego olimpijskiego medalu, bo właśnie zakończyła karierę.

Polskie kolarstwo to jedna gwiazda – Kasia Niewiadoma, a także kilka niedorównujących jej jeszcze, ale dobrych lub obiecujących zawodniczek: Agnieszka Skalniak-Sójka, Marta Jaskulska, Marta Lach, Daria Pikulik, Dominika Włodarczyk, Kaja Rysz… Spróbujcie jednym tchem wymienić tyle nazwisk ich kolegów kolarzy liczących się w zawodowym peletonie. Nie dacie rady.

Czy mamy lepszego tenisistę, niż jest tenisistka Iga Świątek?

Śladami Ewy Pajor

A teraz przejdźmy do gier zespołowych. Tu wciąż górą są mężczyźni. Ale to pomału się zmienia.

Siatkarze walczą teraz w mistrzostwach Europy i po prostu trudno sobie wyobrazić, żeby wrócili z imprezy bez medalu; wszyscy liczymy, że obronią złoto. Siatkarki już zakończyły swoje mistrzostwa Europy; na czwartym miejscu. Wygrywały wszystko, jak leci, także w grupie z późniejszymi złotymi medalistkami Turczynkami, ale gdy przyszło do decydujących meczów, skończyła się znakomita passa.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

W kraju odezwały się pomruki niezadowolenia, a nawet nieśmiałe głosy domagające się zwolnienia z posady trenera kadry Włocha Stefana Lavariniego. Ludzie! Gdy cztery lata temu Lavarini obejmował swoje stanowisko, Polki były europejskim średniakiem i to raczej w grupie dolnych stanów średnich – jeśli wolno użyć takiego sformułowania rodem z komunikatów hydrologicznych. Teraz mamy czwartą drużynę kontynentu, w której gra dużo młodych siatkarek (wspaniała 19-letnia debiutantka Maja Koput!), a wy się domagacie dymisji trenera? Poczekajcie, ten zespół nie powiedział jeszcze ostatniego słowa.

Panie grają w piłkę nożną. Tu mamy do nadrobienia wieloletnie zaległości. W PRL piłka nożna była dla dziewczyn sportem niedostępnym – tak działo się w całym bloku demoludów. Teraz z Polkami muszą się liczyć. Awansowały do finałów mistrzostw Europy, zdobyły w nich pierwsze gole dla naszego kraju. Ewa Pajor jest światową gwiazdą, nominowaną do nagrody Złotej Piłki.

Teraz trwają – i to na stadionach Polski – mistrzostwa świata zawodniczek do lat 20. Polki już wyszły z grupy eliminacyjnej, wygrywając z Argentyną i Meksykiem. Niezależnie od tego, co będzie się działo dalej, trzeba być pewnym, że pierwszy zespół może być zasilony nowymi zawodniczkami; moim zdaniem bramkarka Julia Woźniak i napastniczka Oliwia Związek już z powodzeniem mogłyby w nim grać.

Widzę lepszą przyszłość przed naszą kobiecą piłką nożną niż przed męską – i sądzę, że nie jestem w tym odosobniony. Czeszki, Słowaczki, Węgierki, Rumunki – a więc inne reprezentantki dawnego bloku wschodniego – są daleko za nami.

Piłka nożna kobiet w Polsce ma źródła w wioskach i małych miejscowościach. Nawet te piłkarki, które trochę zapomniały naszej mowy i muszą wspomagać się angielskimi zwrotami, bo karierę od najwcześniejszych lat robiły za granicą, wywodzą się z takich środowisk.

Ewa Pajor pochodzi z Pęgowa koło Uniejowa, kopać futbolówkę zaczęła w wieku ośmiu lat z chłopcami w klubie Orlęta Wielenin. Kurczę, bardzo bym chciał wiedzieć, czy któryś z tych chłopców zrobił jakąś karierę, choćby na szczeblu okręgówki, ale jak to sprawdzić?

Teraz Pajor to prawdziwa gwiazda FC Barcelona, w sezonie 2025/2026 zdobyła mistrzostwo Hiszpanii, Puchar Królowej, Superpuchar Hiszpanii i wygrała Ligę Mistrzyń. Pokażcie mi polskiego piłkarza z takimi osiągnięciami!

Polscy koszykarze są o krok od finałów mistrzostw świata; koszykarki, cóż, są tam, gdzie są. A są u progu szeroko rozumianej europejskiej czołówki, ale do najlepszych mają jeszcze kawałek drogi.

Piłka ręczna, dyscyplina szczególnie mi bliska, znalazła się w dołku. Nawet nie potrafię powiedzieć, czy wyżej są notowani Polacy, czy Polki. Jakaś nadzieja we mnie wstąpiła. Kilkanaście dni temu nowym prezesem wielce zasłużonego klubu Iskra Kielce (występował pod różnymi nazwami, m.in. Kolporter, Vive, Łomża – chodziło o piwo – Kielce, Industria) został równie zasłużony szczypiornista, który niemal całą karierę spędził w kieleckim klubie: Karol Bielecki. W pierwszym wywiadzie stwierdził, że najbardziej zależy mu na tworzeniu sekcji piłki ręcznej w szkołach. To samo mówi prezes ZPRP Sławomir Szmal, który karierę kończył jako bramkarz w kieleckim klubie.

Superpower ogarniania

Wszyscy to wiedzą, ale jakoś nie wszyscy (poza środowiskiem siatkarskim) potrafią wcielić w życie. Ja pamiętam, jak sport szkolny wyglądał za moich czasów. Patronat nad renomowanym Liceum Ogólnokształcącym im. Klementyny Hoffmanowej w Warszawie, do którego uczęszczałem, objęła sekcja piłki ręcznej Spójni Warszawa. Normalnie trenowaliśmy, braliśmy udział w jakichś tam rozgrywkach, dwaj z nas doszli aż do pierwszej (podówczas najlepszej) ligi, co nie przeszkadzało mi zresztą prowadzić bujnego życia towarzyskiego, a fakt bycia sportowcem dodawał mi tylko blasku w oczach dziewcząt.

No właśnie, odbiegłem nieco od tematu dziewcząt w sporcie. Już się poprawiam. Co sprawia, że płeć piękna, mimo wszystkich ograniczeń, tak dobrze się ma w naszym wyczynie?

Moimi chorymi nogami zajmuje się świetna masażystka, Maja, niedoszła koszykarka, podobnie jak ja byłem koślawym piłkarzem ręcznym. Oboje nie przeskoczyliśmy z powodzeniem progu między kategorią juniorów a seniorów. To newralgiczny punkt, ale to nic nowego. Ani ja, ani Maja nie odnaleźliśmy się w nowych zespołach, gdzie rzadko wpuszczani byliśmy na boisko, bo starsi byli lepsi. Maja jest znakomita w swoim zawodzie, studiuje zaocznie fizjoterapię, ja mam za sobą lata pracy w dziennikarstwie.

Swego czasu wysnułem teorię, która nie musi być prawdziwa, ale chyba coś w niej jest. W naszym sporcie wyczynowym panuje burdel i to się nie zmienia, choć zmieniają się rządy, ministrowie, a prezes PKOl trafił za kratki. Faceci będą trenować, jeśli mają wszystko podane na tacy, perfekcyjnie zorganizowane. Jeśli tak nie jest – sami zaczną wokół siebie robić jeszcze większy burdel albo po prostu się zniechęcą.

A teraz popatrzcie na dziewczynki. One na półkach w swoim pokoju mają porządek, w piórniku ołówki i kredki na swoich miejscach, prace domowe zazwyczaj odrobione. Choćby zajęcia WF w szkole były prowadzone w nieporządku, one same jakoś zaczną wszystko ogarniać (tak jak ogarniały w przeszłości swoje półki z lalkami). W organizacyjnym bałaganie, jaki od lat towarzyszy naszemu wyczynowi, potrafią się połapać, skupić na tym co jest ważne i dla nich pożyteczne. Jeśli postanowią zostać wybitnymi sportsmenkami, a na dodatek znajdą wsparcie w rodzinie, pójdą naprzód jak burza.

Wieszając na ścianie medale oraz dyplomy w takim samym porządku, jak kiedyś układały lalki na półkach i kredki w piórniku, mogą sobie dla rozrywki poczytać uczone opracowania o tym, dlaczego dziewczęta nie lubią sportu.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

NIE

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Tadeusz Klementewicz, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA" Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 16.09.2026 r.

„NIE" w komórce
Papier się gniecie. Telefon nie.

eprasa.pl 7eb08cd4f6

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Jestem zdrowy jak rydz! Sprawny jak rydz, szybki jak rydz, śmigły jak rydz. I prawie nie biorę już tabletek poprawiających koncentrację, lecz tylko te na serce, na prostatę, na gazy i na rzeszotowienie kości.

Mam 78 lat i jestem zdrowy jak rydz. Trochę wprawdzie szwankuje mi serce, dokucza prostata, miewam nadmiar gazów, a kości mi lekko rzeszotowieją, ale wciąż jestem sprawny, szybki, śmigły i chyży. Mogę dobyć broni i zamalować antysmoleńskie napisy na tych szmatławych transparentach. A po drodze odsunąć wrogich manifestantów, choćby poruszali się na wózkach lub o kulach.

Co to ja chciałem powiedzieć? Aha. W domu mam arsenał. Pistolety na farbę i na styropianowe kulki. Wiatrówki, śrutówki i kniejówki. Granaty hukowe. Świece dymne. Świece z wosku i stearyny. Świece zapłonowe. Widać zatem, że żywcem mnie nie wezmą.

Wiem, że chcieliby mnie wysłać do lekarza, żeby przepisał mi więcej tabletek na poprawę koncentracji. A ja już prawie ich nie potrzebuję, bo czuję się dobrze. Doskonale. Jestem śmigły jak rydz. Co prawda serce i prostata, gazy i rzeszotowiejące kości, ale przecież niedługo skończę 80 lat. Niejeden 50-latek mi zazdrości, zwłaszcza taki z antysmoleńskiego zaciągu. Wróg ojczyzny, gorszy sort, lumpenproletariat, po prostu śmieć.

Co to ja chciałem…? Oni się mnie boją. Wiedzą, że mógłbym ich zniszczyć. Wykończyć jak Berczyński wykończył Caracale. Zgnieść jak puszki coli i osłonki do parówek. Bo jako minister wszedłem w posiadanie dokumentów kompromitujących dla liberalnych elit. Gdzieś tu je miałem, ułożone w pliki, powiązane w ryzy, w środkowej szufladzie, tej zamykanej na kluczyk. A gdzie jest kluczyk?! Muszę usiąść, wziąć tabletkę na poprawę koncentracji i zaraz sobie przypomnę.

Co to ja…? Kluczyk! Pliki, ryzy, prostata, pistolet na farbę, o kulach, kości, kniejówki, świece dymne, nadmiar gazów. Ufff… Muszę odsapnąć, bo serce mi wysiądzie, prostata się powiększy, a kości jeszcze bardziej będą przypominały ementaler. I jeszcze te gazy…

Oni, liberalny lumpenproletariat, demonstranci antysmoleńscy, śmiecie, oni wszyscy byliby szczęśliwi, gdybym stracił pamięć, a koncentracja zaczęłaby mi szwankować. Gdybym zgubił ten przeklęty kluczyk. Gdybym się potknął i upadł na warszawski bruk. Pękł jak parówka, zapadł się jak puszka coli.

Ale się nie dam! Nie poddam się, nie ulegnę, nie sprawię im satysfakcji. Zażyję jeszcze jedną tabletkę, muszę tylko uważać, żeby nie przedawkować, bo dopiero wtedy mieliby używanie. Chociaż jestem zdrowy jak ryba. Sprawny jak ryba. Zdrowy jak koń. Śmigły jak koń.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją



JOANNA SENYSZYN wyleguje się nad basenem we Włoszech.
AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA jedzie na stróżę na Podlasie.
Obie bardzo zadowolone.

Senyszyn: – Znowu stróżujesz?

Wołk-Łaniewska: – A żebyś wiedziała. Bardzo mi tego trzeba. Jak mówi moja siostra z wyboru, właścicielka stróżowanego dobytku: zmienić obraz na siatkówce. Ja w odróżnieniu od zaprzyjaźnionych burżujów nie wylegiwałam się w tym roku nad żadnym basenem…

– Oj, już nie zawiść.

– Trochę zawiszczę – ale tylko trochę, bo na Białystok się cieszę bardzo. Może nie będzie 30 stopni…

– We wrześniu na Podlasiu? Raczej nie.

– Za to będzie jesień. A jesień jest moja. Kiedyś zawsze się zakochiwałam na jesień. Teraz obawiam się, że ten etap mam już za sobą, ale sentyment pozostał.

– A wiesz, że coś w tym jest. Ja Bola też poznałam jesienią – 50… nie, 51 lat temu. Trochę późniejszą – bo na imieninach wspólnego znajomego, adwokata Andrzeja Sokołowskiego. Był inteligentny, oczytany, błyskotliwy, dowcipny, a do tego przystojny, zadbany, elegancki, pachnący kultową wówczas Eau Sauvage Diora…

– Sokołowski?

– Głupia jesteś, Bolo!

– A przepraszam… I tymi walorami tak cię urzekł od pierwszego spojrzenia?

– A nie, akurat urzekł mnie tym, że orzekł karę śmierci…

– Słucham?!

– Bolek był sędzią, przewodniczącym wydziału karnego dla miasta Gdańska i kilka dni wcześniej wydał trzeci w swoim życiu wyrok śmierci. Wszyscy go za to atakowali, a ja broniłam, bo wtedy jeszcze uważałam, że społeczeństwo ma prawo eliminować jednostki, które mu zagrażają. Jak to robią wilki. Dziś już tak nie sądzę.

– Po pierwsze: no myślę! I po drugie: co do tego mają wołki, tfu, wilki?

– Wilki, którymi się od lat zachwycam, to bardzo mądre i wyjątkowo szlachetne zwierzęta, które dbają przede wszystkim o bezpieczeństwo i dobrostan swojego stada. Z jednej strony, troskliwie opiekują się niedołężnymi rodzicami do ich śmierci, a z drugiej – potrafią zagryźć własne szczenię, jeśli zauważą, że nie rozumie zasad życia społecznego i będzie w przyszłości zagrożeniem dla innych osobników.

– To lepsza opowieść niż ta o samcach alfa.

– To teraz moja kolej, żeby spytać: co mają do tego samce alfa?

– Ten cały koncept samców alfa – a także sigma, beta, delta i tak dalej – wywodzi się z badań amerykańskiego biologa L. Davida Mecha, który w latach 70. spopularyzował ten termin, opisując relacje w wołczym stadzie, które obserwował: że najsilniejszy, najbardziej agresywny samiec podporządkowuje sobie wszystkich dookoła. Popkultura natychmiast to podchwyciła, bo współgrało z rodzącą się erą społeczno-gospodarczego darwinizmu…

– To prawda: Milton Friedman dostał nagrodę Nobla w 1976 r. i to zapoczątkowało tę ponurą epokę, w której o losach świata decydowali tacy, co są gotowi za dolara prowadzić żabę na sznurku do Budapesztu…

– Że co?

– Tak się mówiło w mojej młodości na opisanie chciwości.

– Piękne. Zapamiętam, będę używać. Wracając do samców alfa, którzy skądinąd chciwość postrzegają jako męską cnotę: na podstawie badań Mecha powstała cała ta idiotyczna konstrukcja stratyfikacji męskości – że prawdziwy facet to alfa, beta to cieniasy, a o delcie już w ogóle nie warto wspominać. Ten stek bzdur internetowa manosfera do dziś pakuje do łbów biednym zagubionym incelom.

– To jeszcze wytłumacz, co to jest manosfera.

– Taki mroczny zakątek internetu, gdzie mężczyźni, z którymi nikt nie chce chodzić do łóżka, płacą tym, z którymi podobno ktoś chce, za tłumaczenie, dlaczego kobiety zasługują na nienawiść i pogardę.

– Na Netflixie jest bardzo interesujący dokument Louisa Theroux zatytułowany „W głębi manosfery". Polecamy.

– A przy tym influencerzy manosfery są żałośnie śmieszni: moim faworytem jest taki jeden neandertalczyk, z gatunku tych, co łatwiej przeskoczyć niż obejść, który naucza, że prawdziwy mężczyzna nigdy nie używa słów „proszę" i „przepraszam".





Ilustr. PAWEŁ FERENC

– A jakich używa?

– „Jeśli nie masz nic przeciwko" albo „z całym szacunkiem zechciej" oraz „nie chciałem cię urazić" lub „moją intencją nie było cię dotknąć"…

– Ale teraz to sobie ze mnie żartujesz?

– Gdzież bym śmiała?! Nazywa się Ali Sobh, ma 1,2 mln obserwujących na Instagramie. Jak pragnę zakwitnąć. I tacy właśnie geniusze zbudowali swój wizerunek na opowieściach o wołkach alfa, ale prof. Mech odszczekał tę całą historię po tym, jak zaczął obserwować wilki w ich naturalnym habitacie. I okazało się, że koncept alfa realizuje się tylko w niewoli, w stadzie zbudowanym na siłę z niespokrewnionych osobników.

– Bo prawdziwa wataha wilków to rodzina.

– Dokładnie: mama, tata i mioty z ostatnich paru lat. A przywódcami watahy są po prostu rodzice tych młodych, zanim one się odłączą i zaczną budować własne watahy.

– Co potwierdza moją opinię, że to mądre i szlachetne zwierzęta.

– Owszem. Choć w życiu człowieczym my akurat nie jesteśmy aż takimi wyznawczyniami rodziny jako podstawowej komórki społecznej. Uważam, że przyjaciele, rodzina z wyboru, są znacznie ważniejsi niż wspólnota genomu.

– Bo nie wszyscy ludzie są tak rodzinni i szlachetni jak wilki. I może dlatego chcą tępić te wspaniałe zwierzęta. Ale pogadajmy o polityce.

– Zawsze!

– W mojej autobiografii doszłam właśnie do 2010 r. i dywaguję, czy gdyby Lech nie został pochowany na Wawelu – co wywołało ogromny sprzeciw i podzieliło społeczeństwo – Jarosław byłby wybrany na prezydenta. Coraz częściej myślę, że w ramach współczucia mogłoby się to wydarzyć, jako rodzaj społecznego zadośćuczynienia dla bliźniaka. I że niekoniecznie byłoby to takie złe. Prezydent Jarosław Kaczyński straciłby swoją ukochaną partię, PiS by się rozpadło, w 2015 r. wyborów nie wygrałby Duda i nie nastałby drugi kaczyzm… Efekt motyla.

– Ja się absolutnie z tobą zgadzam. Co więcej, w 2010 r. w drugiej turze głosowałam na Kaczyńskiego.

– To odważne wyznanie. Powiedz chociaż, że przewidziałaś efekt motyla…

– Aż taką wizjonerką nie byłam. Ale głosowałam na kohabitację, co robię zawsze od 1990 r., bo uważam, że polska klasa polityczna nie jest dość dojrzała i nie ma dość poczucia odpowiedzialności za państwo, żeby można było jakiejkolwiek formacji powierzyć 100 proc. władzy nad krajem. Ostatni raz, kiedy to się nie zamieniło w fiestę zawłaszczania państwa, to były lata 1995–1997, kiedy z kolei rząd Cimoszewicza z patronatem prezydentury Kwaśniewskiego mógł zrobić więcej – w sensie realizacji lewicowego programu. Z tym że żaden z tych dwóch nie był tak naprawdę lewicowcem.

– Zaraz, zaraz; głosujesz na kohabitację zawsze od 1990 r.? To znaczy, że w 2025 głosowałaś na Nawrockiego?

– No właśnie nie, głosowałam na Bonżura, z potwornym niesmakiem, bo uznałam, że to głos na kohabitację z przesunięciem. Już w zeszłym roku było oczywiste, że jak chłopaki dalej będą się tak bawić, to w 2027 PiS wróci do władzy w podskokach i wtedy dobrze będzie mieć hamulcowego w dużym pałacu. Wyszło, jak wyszło.

– Dobrze, że w wyborach za rok będziesz miała na kogo głosować z przyjemnością, bo szykuje się do startu nasza Nowa Fala.

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 7eb08cd4f6